

# ECHO ZŁOTORYI

Nr 2 (178) 2022

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej: Pięgrzymka - Świerzawa - Wojcieszów - Zagrodno - Złotoryja

Cena: tylko 3 zł

ISSN 1897-4023



## Po polsku

Niedawno Mąż podesłał mi wyszperaną w sieci ofertę pracy. Przyznam, że była bardzo kusząca, ale było jedno „ale”, to „ale”, które mnie zawsze zniechęca: dobra znajomość języka obcego. Mówię do Męża: „Odpada, z powodu języków”. A on na to: „Przecież uczyłaś się rosyjskiego, niemieckiego, włoskiego, a nawet łaciny”. No tak uczyłam się, ale wstyd się przyznać, żadnego nie opanowałam na tyle, by się czuć pewnie w mowie i piśmie. A to dziś warunek sine qua non, by coś w życiu fajnego robić, a nie tylko uczyć polskiego. A tak w ogóle to po polsku mówić też się nie nauczyłam.

Nie chodzi mi o poprawność gramatyczną czy o dobór słownictwa. Nie umiem rozmawiać. Obserwuję ludzi i widzę, że inni chyba inni też mają z tym problem. Nie umiemy rozmawiać. Nie chodzi mi o small talk, tylko o prawdziwą wymianę myśli, nie tylko słów. Nie polspolite: „co słychać?”, nie klasyczne narzekanie na zdrowie, drożyznę lub pogodę. Chodzi mi o prawdziwą wymianę myśli i uczuć, o ubieranie w słowa tego, co głębokie, co boli lub cieszy bądź tkwi jak zadra. Na takie tematy milczymy i to milczenie, to wypełnienie niewypowiedzianymi słowami pęcznieje. I my pęczniejemy, chodzimy jak nadmuchiwanie baloniki. Robimy marsowe miny, uciekamy wzrokiem, nosimy żal, bo ktoś się nie domyślił, co nam w duszy gra. Ludzie na ogół są niedomyślni, szczególnie faceci. Czasem trzeba prosto z mostu: „Słuchaj, jestem na ciebie wkurzona, bo zrobiłaś mi przykrość” albo „Wiesz mam żal, bo sprzedałaś innym mój sekret”, albo jeszcze bardziej wprost: „Nie chcę już z tobą rozmawiać, bo ci nie ufam”. Może wtedy ten ktoś będzie miał szansę na wypowiedzenie swojej prawdy. Może z balonika zejdzie powietrze.

Wiem, to trudne. Ale czasem niezbędne, by stała się jasność. Ta jasność relacji, która wszystko stawia na właściwych torach, by nie doszło do kolizji czy do wybuchu (wybierzcie sobie lepszą metaforę).

Nieprawda, że ludzie przede wszystkim składają się w wody, ludzie składają się ze słów. Tych które wypowiadają i tych, które do nich docierają, i w dużym procencie tych niewypowiedzianych. Miło by było, gdyby to były same dobre słowa. Ale skoro nie mogą być tylko dobre, niech chociaż będą prawdziwe.

Nauczmy się mówić. Po polsku.

 **Iwona Pawłowska**



## Przejrzyj na oczy

To hasło 30. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy jest bardzo wymowne i świetnie pasuje do dzisiejszych realiów. To przede wszystkim stanowcze życzenie lub prędzej inkantacja mająca chronić wzrok polskich dzieci, a to dzięki sprzętowi diagnostycznemu, na który Orkiestra zbiera w tym roku fundusze. Ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to hasło to także zaklęcie, bezsilne wezwanie do części ludzkości, która, jak się od kilku lat okazuje, za nic ma zdobycze nauki, wie wszystko lepiej, a co gorsze, coraz nachalniej zmusza innych do życia na swój sposób. Jeżeli po 30 latach działania WOŚP w Polsce i na całym świecie ktoś jeszcze nie wierzy w „magię dobra” i neguje tak widoczny fenomen, czy jak wolą niektórzy cud, to przekaz zawarty w haśle 30. Finału nabiera tu kolejnego znaczenia.

WOŚP gra w Polsce po raz trzydziesty. Który to już raz w Złotoryi? Pytam o to Paulinę Zagatę, szefową złotoryjskiego sztabu WOŚP.

„Według naszych sztabowych ustaleń wydaje nam się, że to 16. raz, gdy harcerze ze złotoryjskiego oddziału Hufca Jawor organizują Wielki Finał. Ale niedawno otrzymałam od znajomej złotoryjski identyfikator z 7. Finału z 1999 r. Mało tego, dostałam od niej także identyfikatory z 2000 i 2001 roku. Najprawdopodobniej to były początki organizacji Finału WOŚP w Złotoryi. Ja po raz trzeci organizuję go w naszym mieście. Wcześniej robiła to Ewa Miara, Komendant Hufca. Od listopada 2019 r. już nie jesteśmy Hufcem Złotoryja ze względu na problemy kadrowe i organizacyjne. Jednostki zostały przeniesione do Hufca Jawor. Obecnie działamy jako 1. Złotoryjski Harcerski Szczep „Horyzont”, w którego skład wchodzi 3. Złotoryjska Gromada Zuchowa „Strażnicy przygód”; 13. Złotoryjska Gromada Zuchowa „Łowcy przygód” oraz 33. Złotoryjska Drużyna Zuchowo-Harcerska „Nazwy nie pamiętam”, to drużyna harcerzy starszych. Razem to ok. 30 osób. Zuchy spotykają się na zbiórkach przy ul. Sienkiewicza w piątki o 17.00. Harcerze starsi zbiórki mają w piątki lub soboty. Na taką zbiórkę każdy może przyjść i serdecznie zapraszamy wszystkich chętnych. Od września ub. roku nie prowadziliśmy naboru w szkołach ze względów pandemicznych, ale teraz, jak tylko uporamy się z zamknięciem 30. Finału, będziemy otwarci na przyjęcie nowych członków do naszych jednostek. Trochę zmartwień przysparza nam nasz budynek, który niewątpliwie wymaga renowacji, inna sprawa, czy on wytrzyma tę renowację. Mimo wszystko jest to miejsce,

w którym czujemy się jak w domu i staramy się o nie dbać. Nasza kadra liczy 6 osób i wszystkie pracują zawodowo. Z własnego doświadczenia wiem, że taka praca drużynowa to około 14 godzin tygodniowo. Tego czasu nam brakuje, a plany mamy ambitne. Bardzo cenimy naszych instruktorów i harcerzy za „wystrugiwanie” tych 14 godzin na organizowanie zbiórek i zajęć.”

Pytam Paulinę, jak wyglądała praca nad ostatnim Finałem.

„Praca nad tworzeniem sztabu zaczyna się już w październiku, kiedy to wysłaliśmy zgłoszenie, że chcemy grać. Potem jest kilka miesięcy pracy, w którą angażuje się bardzo wiele organizacji, przedsiębiorców i mieszkańców. Przede wszystkim współpracujemy z ZOKiR, finansowo wspiera nas UM w Złotoryi, możemy też liczyć na służby porządkowe, jak Policja, Straż Miejska i Straż Pożarna. Są przedsiębiorcy, którzy sami wychodzą do nas ze swoimi pomysłami, co nas bardzo cieszy i motywuje. Im więcej takich dobrych serc, tym program naszej imprezy jest bogatszy. W tym roku już po raz kolejny musieliśmy się zmierzyć z obostrzeniami covidowymi. Już 29. Finał odbył się online, a w 30. zrezygnowaliśmy z imprezy w budynku ośrodka kultury, bo trzeba by było panować nad liczbą osób wewnątrz i żądać paszportów covidowych, a trudno w taki dzień kogokolwiek wykluczać. W tym roku scena dla artystów, którzy występowali w Finale, znajdowała się na Rynku i największym naszym problemem był silny wiatr. Ale dla Orkiestry nie ma rzeczy niemożliwych, wspólnie z pracownikami ZOKiR rozstawiliśmy sprzęt i namioty. Udało się. Finał zagrał w Złotoryi w centrum miasta i był to naprawdę fantastyczny dzień. Były licytacje, sprzedaż ciasta, grochówki, loteria fantowa, talonowa, odbyły się również dwa koncerty Marioo i zespołu Zodiak oraz popis na saksofonie Szymona Wąskiego i pokaz dіджеja Dawida Durmaja. W dniu Finału w salonie Justyny i Grzegorza Gap można było zrobić sobie warkoczki, jakąś tam fryzurkę, a cały dochód z tego dnia wędrował do puszek z serduszkami. Mieliśmy swój „WOŚPOWÓZ”. Strażacy z Olszаницы udostępili swój wóz na Rynku oraz uczyli zasad udzielania pierwszej pomocy. Na licytacje dostaliśmy mnóstwo przedmiotów: obrazy, ubrania, pufy, poduszki-serca, płyty, fanty od Sylwii Grzeszczak, a ciekawą rzeczą był talon na „jeden dzień jako burmistrz mia-



sta” ufundowany przez naszego burmistrza, wylicytowany został za 2 tysiące złotych. Największą cenę na licytacji 2.600 zł., otrzymało złote serduszko z łańcuszkiem. To, co nie poszło na aukcji podczas finału, można było wylicytować na Allegro jeszcze przez tydzień. Wszystko zostało sprzedane za 5 tysięcy, czyli też fajny wynik. Na koniec świąteczko do nieba powędrowało tradycyjnie z Baszty Kowalskiej. W samym sztabie działa trzon ok. 15 osób, które pozyskują wolontariuszy, gromadzą fanty na licytację i koordynują wszystkie wydarzenia w dniu Finału. Z nimi ja, jako szefowa sztabu, czuję się pewniej, mając ich jako swoją prawą i lewą rękę. Prawdę mówiąc tych rąk mam wtedy więcej. Jestem im za to bardzo wdzięczna, to są ludzie o złotych sercach. Na wolontariuszy mieliśmy 65 miejsc i wszystkie zostały zarezerwowane. Do kwesty nie zgłosiły się trzy osoby, ale razem z rozlokowanymi w 20 złotoryjskich sklepach puszkami stacjonarnymi cała kwota zakończyła się kwotą ok. 65 tys. złotych. Mieliśmy też e-skarbonkę, do której zbieraliśmy 2.200 zł. Uzbierane pie-

podczas licytacji na Rynku. Wolontariusze uczulani są na względy bezpieczeństwa i muszą przestrzegać kultury wolontariatu, która przez tyle lat została wypracowana. Unikają odosobnionych miejsc, ciemnych uliczek, nie mogą być nachalni, nie chodzą po domach, nie wchodzą do kościołów. Sztab Złotoryja gra w całym powiecie, wolontariusze to nie tylko osoby ze Złotoryi, ale także z Wilkowa, Zagrodna, Brennika, z wielu mniejszych wiosek, kwestowali również dla nas panowie na motorach. Bardzo im wszystkim za to jestem wdzięczna. Szczególnie serdecznie chcę podziękować ekipie „Pisarski Media” i „Events-Borek” oraz dj „Team” Michałowi Obajdzie, którzy instalowali nam na scenie oświetlenie i nagłośnienie. Chłopaki zaczęli swoją pracę w sobotę od godziny 10 rano, pracowali całą sobotę, spali w busie pod sceną, bo pilnowali sprzętu, a później razem z nami grali na maksa w niedzielę. Nie spodziewaliśmy się tego, co oni zrobią tam na tej scenie ze światłem i dźwiękiem. No, dali 100 procent siebie. Naprawdę. Właśnie tak bezinteresownie zaangażowane osoby i ta-



niądze liczymy ręcznie, nie mamy żadnych liczarek, więc zajmuje nam to bardzo dużo czasu, chcemy wszystko zliczyć rzetelnie. Pomimo tego, że jesteśmy już bardzo zmęczeni, musimy to zrobić, żeby zamknąć ten cały finałowy dzień. Jak wszystko zliczymy i zapakujemy, odbiera to Straż Miejska, a rozliczamy się z tej kwoty, wpłacając ją na konto w mBanku w Legnicy. Same puszki - skarbonki wolontariusze mogą sobie odebrać na pamiątkę, a jak nie, to je po prostu niszczy. W hufcu mamy kolekcję 16 puszek, każda z innego Finału. W tym roku, ze względu na okrągłą rocznicę, dostaliśmy „złotą” puszkę. Wykonała ją inna grafika i posłużyła nam

kie granie jest najpiękniejsze. To jeden dzień w roku, kiedy wszyscy razem możemy skupić się i zrobić niewyobrażalne rzeczy. Ten 30. Finał to był niesamowity dzień przepełniony radością i dobrocią serca. Podsumowując wszystko myślę, że uda nam się osiągnąć wynik 80 tys. zł. jak nie troszeczkę więcej. Ale nie o liczby tutaj chodzi. Jako szefowa sztabu WOŚP Złotoryja 2022 oznajmiam, że Złotoryja bardzo przejrzała na oczy i grała na maksa, i będziemy tak grać do końca świata i o jeden dzień dłużej.”

 **Pytania zadawał Jarek Jańta**  
 **Bartosz Jeziorski, Marta Kusiak**



## Szklane mozaiki

Gdy odwiedziłem siedzibę firmy „Gandalf”, trudno mi było uwierzyć w to, że w tak stosunkowo niewielkim budynku można prowadzić firmę o tak szerokim profilu i niebagatelnym zasięgu. W jej historii zdarzyło się chyba wszystko, co przedsiębiorcom zdarzyć się może. Od garażowej manufaktury, do podboju innych kontynentów. Ale nie zabrakło w niej również wzlotów i upadków. O tym wszystkim opowiedzieli mi Paweł Gągorowski i Filip Mazur.

„Historia naszej firmy rozpoczęła się w 2004 roku. Chciałbym powiedzieć, że wszystko zaczęło się w garażu, ale de facto na strychu. Wpadłem na pomysł, żeby przy pomocy najprostszej, ręcznej maszyny przecinać listwy dekoracyjne do płytek, a także z powstałych mniejszych fragmentów układać mozaiki. Nie spodziewaliśmy się, że wywołamy aż tak duże zainteresowanie na rynku.

Udało nam się zainteresować wyrobami jedną z dużych, niemieckich sieci marketów budowlanych. Okazało się, że przy okazji nieźle się na tym zarabia. Aby w ogóle móc produkować, trzeba było nosić tony płytek na ów strych. W tamtym czasie rynek był bardzo chłonny i nietypowe produkty sprzedawały się bardzo dobrze, tym bardziej, że polscy producenci, którzy wówczas dobijali do czołówki europejskiej, nie mieli w ofercie typowych mozaik. Hitem okazała się najprostsza metoda. Cięliśmy płytkę na dwa cienkie paski o długości 60 centymetrów, tłukiliśmy kolejną płytkę i wrzucaliśmy do betoniarki, aby krawędzie

stały się obłe. Potem składaliśmy to w całość według różnych wzorów. Sprzedaliśmy tego dziesiątki tysięcy sztuk.

Po pierwszych sukcesach musieliśmy podjąć ważną decyzję, czy realizujemy swoją wizję artystyczną, czy tworzymy firmę, która będzie przynosić dochody. Bardzo rzadko zdarza się, aby ktoś połączył pasję z wizją artystyczną i dodatkowo dobrze na tym zarobił. Niestety, nie udało się uciec od komercyjnego modelu firmy. Dość szybko weszliśmy w kooperację z fabryką Polcolorit w Piechowicach koło Jeleniej Góry. Przypominam, że był to rok 2004 i wówczas mieliśmy w Złotoryi bardzo duże bezrobocie. Stworzenie firmy, która daje kilka miejsc pracy również było ważne. Mieliśmy szczęście, że wokół nas pojawiło się wiele wartościowych osób. Stworzyliśmy dobry zespół. Oczywiście nie od razu było łatwo, ponieważ nie mieliśmy żadnego doświadczenia w prowadzeniu firmy i zarządzaniu ludźmi. Był to jednak na tyle dobry okres związany z wejściem Polski do Unii Europejskiej, że te pozytywne czynniki miały szansę się z sobą zbiec.

Jak w wielu takich historiach, mieliśmy dużo szczęścia. W pewnym momencie wszystkie zarobione dotąd pieniądze przeznaczyliśmy na zakup starej maszyny, która we Włoszech miała być przeznaczona na złom. Kupiliśmy ją, wyremontowaliśmy i korzystamy z niej do tej pory.”

(Paweł Gągorowski)

„Historia początku naszej firmy brzmi

dosyć nierealnie. Moja żona była wówczas w ciąży, a ja pracowałem jako ochroniarz w ZUS-ie, mimo że jeszcze studiowałem. Nieustannie nosiłem po schodach wiadra z tłuczniem. Żona przychodziła do mnie wieczorem i razem robiliśmy nasze pierwsze wyroby. Wtedy uważałem, że ważniejsza jest praca niż sen... Z czasem nasza działalność nabrała handlowego wymiaru. Podpisaliśmy umowę z Polcoloritem, o którym wspominałem wcześniej. Dostaliśmy od nich spory kredyt zaufania, ale nie bez przyczyny. Bardzo spodobały im się nasze wyroby. Sporo z nich włączyli do swojego katalogu. To był przełomowy moment, od którego firma zaczęła się rozwijać i trwało to do 2008 roku.

Potem nastąpił kryzys światowy. Dotkliwie odczuł to rynek materiałów budowlanych w Polsce. My, można powiedzieć, dostaliśmy rykoszetem. Firma, z którą tak dobrze układała nam się współpraca, postanowiła w ramach oszczędności otworzyć własny wydział, w którym zaczęła produkować to, co dotychczas od nas kupowała. To był w tej historii punkt zwrotny. Zostaliśmy bez kontraktu, który dotychczas pochłaniał 90% produkcji. Zatrudniliśmy wówczas 15 osób, dla których z dnia na dzień zabrakło pracy. Zablokowano nam wszystkie płatności. Zatrudniłem się wówczas u znanego producenta płytek i - jednocześnie prowadząc swoją działalność - zajmowałem się dystrybucją jego asortymentu i przy okazji szukałem dla siebie nowych odbiorców. Powoli zbudowałem sieć klientów w całym kraju. Stawało się to na tyle stabilne, że można było zacząć planować przyszłość. Po kilku latach dołączył do nas Filip Mazur, który miał, jak się okazało, dobrą wizję współczesnego marketingu.

Mniej więcej w tym samym czasie, czyli w roku 2019, poznałem Włocha Eugenio. Jego firma zajmuje się demontażem linii technologicznych w Europie a następnie sprzedaje je do Indii, Tajlandii. Jego znajomości biznesowe w Azji zawołały pomysł, abyśmy zajmowali się sprzedażą płytek indyjskiej produkcji. Kupiliśmy kilka kontenerów płytek. Są one bardzo dobrej jakości i mają unikalne wzornictwo. Część z nich sprzedajemy, a część przetwarzamy na mozaiki. Poza tym produkujemy dodatki, które zwiększają ich atrakcyjność”.

(Filip Mazur)

„Wcześniej nasza firma zajmowała się produkcją dla konkretnych odbiorców. Pomysł polegał na tym, by stworzyć własną markę. Było to o tyle ważne, żeby

wejść na rynek internetowy, który w tamtym czasie bardzo dynamicznie się rozwijał, ale w dużym stopniu był niezagospodarowany. Nasze produkty musiały stać się rozpoznawalne. Dziś płytki sprzedajemy pod szyldem Blizzard a pozostałe produkty pod nazwą Gandalf.

Mozaiki szklane powstają od podstaw. Pierwszą operacją jest cięcie szkła na pile diamentowej, kostek o boku 2,5 centymetra. Następnie pocięte fragmenty wkładane są do pieca i wypalane w temperaturze ok. 800 stopni. Dzięki temu krawędzie płytek się zaokrąglają. Kiedy płytki wystygną zaczyna się dekorowanie. Potem pozostaje tylko zamontować kostki na siatce i mamy gotowy wyrób.

Ważne jest dla nas by stosować wyłącznie wodne, ekologiczne farby. Poza tym produkujemy większe płyty ze zróżnicowaną grafiką. Polega to na nanoszeniu na płytę bazową, na przykład białych wzorów metodą sitodruku. Następnie płyta wypalana jest w piecu tunelowym w temperaturze ponad 800 stopni. Jeśli chodzi o aktualne trendy to jesteśmy uzależnieni od wizji projektantów. Część koncepcji powstaje w naszym biurze. Inne są dziełem projektantów z zewnątrz. Wciąż jednak mamy klientów, dla których wykonujemy produkty według ich własnych wytycznych.

Składaniem mozaik zajmują się nasze kochane koleżanki. Nie jest to łatwe zadanie. Część z nich jest powtarzalna, część losowa. Ale najczęściej istotą jest proporcja kolorów, a nie ich położenie. Przykładowo jeśli projekt zakłada, że dominującym kolorem ma być czerwony to ze 121 kostek na który składa się jedna paleta wykorzystuje się 70 kostek czerwonych, 30 białych i 21 czarnych. Aczkolwiek zdarzają się zamówienia, gdzie wzór jest konkretny. Taka mozaika jest dużo trudniejsza do wykonania, bo wymaga ścisłego trzymania się wzoru. Obecnie modne są takie, w których stosuje się jedną barwę, ale za to zmienia się forma. Kiedyś modne były klasyczne kwadraty, teraz popularne stają się romby, jodełki czy pawie pióra. Dawniej klienci korzystali po prostu z tego co było dostępne i większość wewnątrz wyglądała tak samo. Dziś, co nawet widać po zapotrzebowaniu na nasze produkty, każdy klient chce wyrazić siebie. Pokazać swój styl, swój odrębny gust. Jedni wykorzystują stylistykę minimalistyczną, inni bogate wzornictwo. Nasze wyroby muszą temu różnorodnemu zapotrzebowaniu odpowiadać. Dlatego w ofercie mamy mozaiki kolorowe,

wręcz świecące, a także szare betonowe. Ale nawet w szarościach, mimo że moda trwa już kilka lat, to wciąż się zmienia.

W którymś momencie nasze moce produkcyjne okazały się zbyt małe w stosunku do rosnącego popytu i część asortymentu produkują nasi podwykonawcy. Nie produkujemy ceramiki od podstaw, ale tę którą wykorzystujemy, nasi dostawcy wykonują według naszych projektów. W pierwszym okresie działalności nasza produkcja była stosunkowo prosta. Wykonywaliśmy mozaiki z pociętych płytek. Ale moda na taki asortyment się skończyła.

Dzięki współpracy z naszym włoskim przyjacielem będziemy pierwszym w Polsce importerem płytek z Iranu. Stało się tak między innymi dlatego, że koszty transportu z Indii wzrosły tak dalece, że przestały być opłacalne. Ponadto Iran posiada własne złoża gazu, co czyni tę produkcję stosunkowo tanią. Przetarliśmy nowy szlak handlowy. Z Iranu drogą morską towar trafia do Odessy a stamtąd już łądem do Polski. Jest to o tyle ważne, że większość firm frachtowych niechętnie przyjmuje zlecenia z Iranu ze względu na embargo. Tu trzeba zaznaczyć, że w naszym przypadku sprrowadzanie wyrobów z Indii, czy Iranu nie polega na wyborze gotowych produktów z katalogu. To my decydujemy o jakości tych wyrobów, a nawet o grafice. Dziś wypracowaliśmy sobie przyjacielskie relacje z kontrahentami. To nas wyróżnia spośród konkurencji. Zdarzało się, że podczas kryzysu kontenerowego czy też okresu pandemicznego, dostaliśmy towar wystarczający na sześciomiesięczną sprzedaż zupełnie na kredyt. Nasz indyjski partner uczynił tak aby utrzymać się w naszym polu zainteresowania.

Obecnie zaczyna się w historii naszej firmy zupełnie nowy rozdział. Ruszamy na podbój



Afryki, ale ta przygoda wymaga małego wprowadzenia. Nasz partner handlowy, który rezyduje w świętym mieście Senegal Tuobie, należy do królewskiego rodu, którego założycielem jest Ahmadou Bamba Mbacke. Był to święty sufi i przywódca religijny. Założył duże Bractwo Mouride. Był też twórcą pokojowej doktryny wyrwania się spod francuskiego jarzma kolonializmu. W Tuobie, w listopadzie każdego roku pojawia się około 4 milionów wyznawców odwiedzających jego grób. Nasz partner jest członkiem ruchu stworzonego przez Ahmadou Bamba Mbacke. Przez 40 lat mieszkał w Polsce. Tu kończył studia w AGH w Krakowie, będąc skierowanym na nie przez władze wspólnoty. Dziś jest współwłaścicielem miasta Touba i tak się złożyło, że szukał partnerów biznesowych. Mógł wybrać sobie do współpracy wielkie korporacje, ale ważnym okazał się dla niego pierwiastek ludzki.

Wydaje mi się, że kluczem do rozmów było zrozumienie określonej duchowości. Wiedza o tym, że święte miasto Touba to nie jest miejsce gdzie można szybko zarobić duże pieniądze, tak jak do tej pory rozumieli Afrykę europejcy kolonizatorzy, ale jest to miejsce które mu należy okazać szczególny szacunek, a przede wszystkim zrozumieć tych ludzi, i ewentualnie razem budować most dzięki któremu będziemy mogli czerpać wspólne korzyści. Pierwszym krokiem było wysyłanie tam kilkudziesięciu kontenerów płytek ceramicznych polskich producentów. Początkowo były to końcówki serii. Obecnie na obszarze ok. 500 hektarów będących w dyspozycji naszego partnera będziemy tworzyć strefę ekonomiczną. Zaczynamy od budowy rozdawni wody, gdyż jest to pierwszorzędną potrzebą. Woda jest dostępna, my zapewnimy technologię. Jedynym problemem jest przebiecie się przez struktury kalifatu, bo mimo że mamy mocnego partnera to wszystkie decyzje zależą od Kalifa. Dziś sporo środków, które zarabiamy na produkcji płytek, inwestujemy w Afryce. Aktualnie kraj zmagają się z pandemią i ma problemy polityczne, dlatego musieliśmy nieco zwolnić. W Senegal odkryto duże złoża ropy i gazu dlatego jest on łakomym kąskiem dla zamożnych. Na szczęście Touba stanowi pewną enklawę i jest w dużym stopniu niezależna politycznie. Poza wodą chcemy tam otworzyć fabrykę płytek. To dobry moment na takie inwestycje, bo kosmiczne ceny gazu wywindowały koszty produkcji w Europie. Będziemy wyłącznym inwestorem tej fabryki a nasz partner wnosi

coś, co nazwałbym zaplecem politycznym. W niektórych miejscach na świecie wartość takiego wsparcia jest nie do wyliczenia. Rynek afrykański jest bardzo chłonny. Europejscy producenci ceramiki sprzedają tam olbrzymie ilości produktów. Potencjał tego kontynentu jest ogromny, a PKB krajów afrykańskich corocznie rośnie w tempie dwucyfrowym. Jednakże firmom z Europy Wschodniej trudno jest się przebić z powodu braku więzów postkolonialnych. O wiele łatwiej mają tam przedsiębiorcy z Hiszpanii, Portugalii, czy Francji. Tu pojawić się może pytanie – po co jest nam to potrzebne?

Odpowiedź jest stosunkowo prosta. W Polsce w naszej branży i stosunkowo wąskiej specjalizacji osiągnęliśmy pułap szklanego sufitu. Nie od dziś wiadomo, że firma, aby przetrwać musi się rozwijać. Dlatego też rozszerzyliśmy asortyment produkcji o listwy glazurnicze. Listwy produkujemy z arkuszy surowej stali nierdzewnej. To nasza błyskawiczna odpowiedź na to, co dzieje się na rynku. W prostych mozaikach kwadratowych sufit osiągnęliśmy już dawno temu, odpowiedź na to były mozaiki szklane, następną ciekawsze wzory, potem ciekawe materiały, następnie ciekawe kształty.

Dziś kształty nas nie ograniczają, mamy bardzo duży wybór, ale to nadal jest podwórko mozaiki. Obok mamy płytki, dalej listwy czyli produkty uzupełniające, także chemię budowlaną, której jesteśmy tylko dystrybutorem, ale jest to uzupełnienie oferty. Chodzi o to, że jeśli ktoś wejdzie na stronę szklanemozaiki.pl to z nami może wykonać całą łazienkę od A do Z. Mamy w planach jeszcze wiele projektów, które będą tę ofertę poszerzać, ale jeszcze za wcześnie by o tym mówić.

Wyszedłem ze spotkania bardzo zbudowany. Miło jest poznać ludzi, którzy swoją pasję przekuwają w sukces, codziennie udowadniając, że da się osiągnąć więcej. Mam jeszcze jedną refleksję. Firma Pawła Gągorowskiego zajmuje jeden niewielki budynek po byłych Złotoryjskich Zakładach Obuwia. Od Filipa Mazura dowiedziałem się, że sukcesywnie kupują kolejne budynki. Być może w niedalekiej przyszłości uda się im wejść w posiadanie całej „starej” części fabryki i tchnąć w nią nowe życie. Dla mnie byłoby to spełnienie marzeń o dobrej wróżce ratującej tak ważny dla nas zabytek.

✍️ **Andrzej Wojciechowski**

## Kronika

**20.01** w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji odbyły się uroczyste obchody Dnia Babci i Dnia Dziadka.

**26.01** Złotoryja znalazła się w pierwszej pięćdziesiątce klasyfikacji obejmującej blisko 900 gmin miejskich i miejsko-wiejskich w prestiżowym rankingu samorządów dziennika „Rzeczpospolita” za 2021 rok.

**27.01** w holu Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji odbyło się uroczyste otwarcie wystawy prac Jakuba Zapłaty.

**28.01** w Przedszkolu Miejskim nr 2 w Złotoryi odbyła się zabawa karnawałowa.

**30.01** w złotoryjskim Rynku zorganizowano 30. Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

**31.01** Złotoryjski Ośrodek Kultury i Rekreacji uruchomił „Festiwalowe Kino Młodych Online”.

**31.01** Złotoryjski Ośrodek Kultury i Rekreacji zorganizował czwarte spotkanie Złotoryjskiego Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Złoty Samorodek”. Zaprezentowanych zostało 5 produkcji filmowych z ubiegłorocznego Dolnośląskiego Festiwalu Filmowego.

**31.01 - 11.02** w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji odbyły się warsztaty i imprezy w ramach zorganizowanych tam ferii zimowych.

**3.02** w Zespole Szkolno-Przedszkolnym w Świerzawie odbyła się 7. edycja Międzypowiatowego Konkursu Kolęd i Pastorałek.

**10.02** Gmina Pielgrzymka pozyskała 793.680 zł na zakup sprzętu komputerowego dla uczniów szkół podstawowych i średnich zamieszkujących teren Gminy Pielgrzymka w ramach konkursu „Granty PPRG - wsparcie dzieci i wnuków byłych pracowników PGR w rozwoju cyfrowym”.

**12,13,20.02** w hali „Tęcza” odbyła się 11. edycja Turnieju Piłki Nożnej Halowej o Puchar Burmistrza Złotoryi.

**17 - 20.02** w hali sportowej Liceum Ogólnokształcącego odbyły się Międzynarodowe Zawody Klasyfikacyjne PZSS w strzelaniu z broni pneumatycznej „Wielki Puchar Kaczawy”.

**18.02** w Złotoryi odbyły się uroczystości pogrzebowe ks. Stanisława Śmigieckiego, wieloletniego proboszcza parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny.

**24.02** Muzeum Złota w Złotoryi po raz drugi zaprasza na pączki, organizując Tłusty Czwartek w Muzeum Złota.

**26.02** w Zamku Grodziec zorganizowano imprezę „Nocne Zwiedzanie Zamku Grodziec”.

✍️ **Opracował Jarosław Jańta**



Księża Proboszcza Stanisława Śmigieckiego zapamiętałem i zapamiętam, jako kogoś, kto ciągle się śpieszył. Kto wiedział, jak cenna jest każda chwila, jeżeli w głowie rodzi się pomysł, który chce się zrealizować, a nie tylko poprzestać choćby na najwspanialszej idei.

To, co mogę z całą pewnością powiedzieć o księdzu Stanisławie, że był człowiekiem czynu. Oszczędny w słowach, niezwykle pracowity. Na każdym kroku pokazywał nam, jak nie tracić czasu, tylko działać.

Uczył nas, tak mimochodem, jak rozwiązywać, wydawałoby się nierozwiązywalne, problemy. Jak jedną pozyskaną na renowację tej świątyni złotówkę pomnożyć w cudowny wydawałoby się sposób i zrobić znacznie więcej, niż moglibyśmy sobie wymarzyć. Ale to nie cud. To ciężka, systematyczna, dobrze zaplanowana, a jeszcze lepiej wykonana praca księdza Stanisława.

I za to go podziwiam, i za to jestem mu wdzięczny, jak wielu mieszkańców naszego Miasta.

Ta świątynia, w której żegnamy księdza Stanisława, to odnowione wnętrze, to ciepło, które się tu roztacza, to efekt jego wieloletniej, wytrwałej pracy. To efekt jego miłości do każdego detalu, dbałości o to, żeby nie tylko wierni, którzy tu przychodzą pielęgnować swoją

wiarę, ale dosłownie każdy, nawet niezwiązany z kościołem, mógł doznać otaczającego go piękna i majestatu.

Wydawać by się mogło, że to dzieło materialne ks. Stanisława jest już kompletne, że nie ma tu już nic do dodania. Ale, gdy rozmawiałem z ks. Stanisławem, który ledwo co wychodził z kolejnych ciężkich dla niego terminów, on snuł już nowe plany, miał nowe pomysły.

To dorobek materialny, który jak pomnik, upamiętniać nam będzie księdza Stanisława.

Ale jest też nie mniej ważny dorobek niematerialny. Wielką zasługą księdza Stanisława jest zbudowanie wspólnoty wykraczającej daleko poza formalne granice parafii. Pobudzanie do działania ludzi nie tylko w sferze religijnej. Inspirowanie ich, pomaganie, żeby mogli rozwinąć skrzydła – tak jak stało się w przypadku chociażby Zespołu Artystycznego Żołnierzy Rezerwy „Rota”, Polskiego Bractwa Kopaczy Złota... W imieniu tych drugich księdza proboszcza pożegnał Wielki Mistrz – Zbigniew Soja:

*To na pewno smutny dzień w historii naszego miasta, parafii i Polskiego Bractwa Kopaczy Złota. W tym roku mieliśmy obchodzić 15-lecie Twojej posługi jako Kapelana naszego Bractwa. Niestety, Bóg miał wobec Ciebie inne, może*

*nie do końca zrozumiałe dla nas plany. Po tych wszystkich latach posługi kapłańskiej na złotoryjskiej ziemi pozostanie wiele śladów Twojej niespokojnej natury, która wciąż stawiała przed sobą i nami nowe zadania i cele. Czasami wydawało się nam, że są trudne do zrealizowania. Potrafiłeś jednak wszystkich wokół siebie zmotywować do tego, aby czynić nasze otoczenie lepszym i piękniejszym. Dziś odczuwamy pustkę i niepokój, niepokój o przyszłość bez naszego Kapelana. Wierzymy jednak, że już z innej perspektywy, tam z góry będziesz wstawiał się u Boga i otaczał opieką to miasto, parafię i swoich braci z Polskiego Bractwa Kopaczy Złota.*

Nie bez znaczenia jest również przykład, jaki dawał nam przez ostatnich wiele lat. Przykład odwagi i determinacji, aby pokonać chorobę. Przykład, jak godnie znosić cierpienie. Jak nie poddawać się, jak walczyć do końca.

Żałuję i jest to żal człowieka, który kolejny raz spóźnia się z wyrażeniem wdzięczności komuś, kto na to z całą pewnością zasługuje. Żałuję Księża Stanisławie, że nie zdążyłem tego wszystkim powiedzieć Tobie za życia. Lecz ktoś mógł się spodziewać...

*Burmistrz Miasta Złotoryja  
Robert Pawłowski*



## Ile kobiety w kobiecie?

Zbliża się Dzień Kobiet. Święto dość kontrowersyjne i przez niektórych obśmiane. Przez jednych nazywane reliktem komunizmu, a przez innych manifestacją feminizmu. Nie wiem, czy kobiety lubią Dzień Kobiet? Ja nie przepadam. Tak samo jak za walentynkami, tłustym czwartkiem, halloween czy sylwestrem... Po prostu tak mam, że nie znoszę obowiązku świętowania. Jednak zbliżający się Dzień Kobiet wyzwolił we mnie potrzebę refleksji na temat dzisiejszej kobiecości. Co to znaczy dziś być kobietą? Czy rola, jaka przez wieki była nam przypisywana, nie uległa przypadkiem pewnej modyfikacji? Ile jest dziś kobiety w kobiecie? Co dziś znaczy pojęcie pani domu? Jak bardzo różni się od modelu, którego ucieleśnieniem są jeszcze nasze matki? Zapytałam o to kilka młodych kobiet.

### Krystyna

Mam 36 lat i od urodzenia mieszkam na wsi. Wychowywałam się w tradycyjnej rodzinie. Jako najstarsze dziecko moich rodziców miałam okazję zasmakować różnych sytuacji, które miały miejsce w moim domu rodzinnym. Tato, jedyny żywiciel rodziny, którego nigdy nie było w domu, a nawet jak był, to tak jakby go nie było, gdyż działkę trzeba było skopać, drewno porąbać i mnóstwo innych „męskich” rzeczy wykonać. A mama, no cóż... wiecznie z odkurzaczem, wiecznie w kuchni z milionem obowiązków

tych typowo kobiecych według tamtejszych stereotypów - mąż pracuje, a żona dba o dom i dzieci. Niby wszystko fajnie, super układ. Problem takiego układu pojawił się w momencie, gdy dał znać o sobie syndrom puste go gniazda, gdy dzieci dorosły. Pomimo podjęcia pracy zawodowej, nie do końca spełniała swoje kobiece potrzeby.

Pomimo, że byłam wychowywana w typowej polskiej rodzinie moje postrzeganie siebie jako Pani Domu jest nieco inne niż wyniosłam z domu. Jako mężatka z 15-letnim stażem uważam, że w pierwszej kolejności najważniejsze jest realizowanie swoich potrzeb. Od początku małżeństwa obydwoje z mężem pracujemy i tu czar pryska, ponieważ obiad gotuje ten, kto pierwszy skończy pracę.

□ Dalekie to od typowego stereotypu. Podobnie rzecz się ma z porządkami domowymi. Mamy związek typowo partnerski z podziałami obowiązków. Ale taki układ sprawia, że wszystko jest tak, jak ma być. Wzorce wyniesione z domu jako dorosła kobieta postrzegam zupełnie inaczej. Nie będę mamą i żoną, która czeka każdego dnia o tej samej godzinie z obiadem i idealnym porządkiem w domu, do tego jeszcze pachnąca i idealnie wystylizowana. Pani Domu, ta szczęśliwa, według mnie nie jest perfekcjonistką, ani pedantką. Od nieposkładanego prania na czas świat się nie zawali. Pani Domu - ta szczęśliwa oczywiście - jest kobietą, która realizuje swoje pasje, spełnia marzenia, dba o rodzinę, ale nie kosztem siebie. Nic na siłę. Dom to nie muzeum, że musi być perfekcyjny. Dom i Pani Domu muszą być przede wszystkim szczęśliwe.

Trzeba się realizować, cieszyć każdą chwilą. Idealnie dobrane proporcje są gwarancją sukcesu.

(Krystyna Jachimowska)

### Joanna

Nigdy nie należałam do osób pedantycznych, ba, nawet do tych mogących się pochwalić choćby genem pedantyzmu (nie wliczając w to natręctw, jak otwieranie klamek tylko prawą ręką czy przekładanie identycznych zeszytów różniących się jedynie podpisem wewnątrz: matematyka, fizyka, chemia - bardzo ważna dla mnie była ich kolejność leżakowania, tzn. matma na chemii, chemia na fizyce).

Ale wróćmy do meritum. Brak wspomnianego genu porządku doprowa-

dzał moich bliskich do szewskiej pasji, a mnie do niejednokrotnego buntu przeciwko porządkowym zasadom, a koniec końców do płaczu i robienia tego, czego ode mnie wymagano, czyli głównie wprowadzenia porządku w szafkowociuchowym chaosie.

Nie pamiętam, ile razy padały słowa, że „zginę, jak pojedę na swoje”, że „zaraz drzwi szafki nie wytrzymają i wyrzucą w konwulsjach swoją zawartość”. Nawet moja przyszła teściowa zauważyła moją niechęć, nie tyle do porządków, ile do systematyczności ich przeprowadzenia. Ona także była zdania, że tworząc rodzinę z jej synem zginę w odmętach bałaganu. Tak żyłam, torpedowana podobnymi komunikatami 27 lat, aż pewnego dnia, poszłam na owo „swoje” i tak trwam na nim ponad dekadę, u boku mężczyzny swojego życia i dwójki naszych cudownych synów.

W domu jestem jedyną kobietą, piore, prasuję, odkurzam, myję podłogi, okna, toaletę, opróżniam zmywarkę, układam naczynia, wkładam pachnące ciuchy moich domowników do ich szafek. Choć mój Mąż jest pracoholikiem, zawsze znajdzie czas, żeby mi pomóc w domowych obowiązkach lub chociaż nie przeszkadzać - zabierając dzieci np. na spacer.

Nigdy robienie porządków nie przynosiło mi przyjemności, mówiąc wprost - nie lubię sprzątać, ale uwielbiam porządek, cudownie się żyje w czystej, niczym niezaburzonej przestrzeni, dlatego wpadłam w porządkową mantrę - „by żyło się lepiej” mnie i mojej rodzinie, dlatego do tej pory nie zginęłam, nie zarosłam brudem etc., a przepowiednie, a raczej złorzeczenia nijak mają się do rzeczywistości.

Jestem zdania, że do pewnych rzeczy, sytuacji, zachowań trzeba dojrzeć, ja już chyba wkroczyłam na ten etap swojego życia.

Kończąc, chcę podkreślić, że życie „na swoim” wiele weryfikuje, jest trudniejsze niż na garnuszku u mamy, babci, teściowej, ale czy lepsze? W moim przypadku zdecydowanie tak!

Najlepsze w nim jest to, że ja sama decyduję, kiedy, jak i czy w ogóle będzie zrobiony porządek.

(Joanna Ziółkowska)

### Kamila

Jako 33-letnia kobieta po rozwodzie z nowym partnerem dużo zmieniłam w swoim życiu. Kiedyś myślałam, że jak będę miała idealnie wysprzątny dom

a mąż ciepły posiłek podany pod nos po pracy, to wszystko będzie idealnie. Dzisiaj wiem, że dom powinien być na tyle czysty, żeby był dla nas przystanią, w której bezpiecznie się czujemy, a nie muzeum, w którym strach coś ruszyć bo się zepsuje czy ubrudzi.

### Ewa

Jeśli mogłabym zadać sobie pytanie: Bizneswoman czy perfekcyjna Pani Domu? Odpowiem bez wahania: Pani Domu, lecz nieperfekcyjna i nieidealna (bez białych rękawiczek). Pani Domu to rodzaj sekretnego urzędu, który, czy tego chce czy nie, musi piastować każda kobieta. Mniej więcej po przekroczeniu dwudziestego roku życia, aż do odwołania ze stanowiska. Gdybym mogła zestawić i uogólnić stwierdzenie perfekcyjna Pani użyłabym słów: kochająca żona, czuła i opiekuńcza mama, przyjaciółka na dobre i na złe. Moje życie Pani Domu jest zwyczajne i nie składa się z wielkich spraw, a jedynie z drobnych nie-wydarzeń: posiłków, wspólnego czytania książek, piłki nożnej w ogródku, szykowania się do szkoły.

Mój dom jest schronieniem, cichym portem (choć dla niektórych może brzmieć to groteskowo, gdy wokół mnie jest trójka dzieci, dwa pięćdziesięciokilogramowe psy o charakterze „potulnych gigantów” i kot). Ja jednak z dumą śmiem stwierdzić, że pełnię rolę strażniczki domowego ogniska. Rodzina zapewnia mi poczucie satysfakcji i szczęścia, z odwagą i radością idę tą drogą. Jestem aktywna zawodowo, lecz nie wspina się po stromej drabinie kariery. Z wyboru. Sukces zawodowy jest wyborem między rodziną a pracą. Choć nie uważam, że odbywa się zawsze kosztem wyeliminowania pewnych cech jak czułość, dobro, opiekuńczość.

Moje życie Pani Domu to praca cechująca się wielozadaniowością... Jestem stale czujna, by nic się nie stało, o niczym nie zapomnieć i by nikomu niczego nie brakowało. Wiadomo, różnie bywa i nieraz żadne magiczne zaklęcie nie jest w stanie nic zmienić, czy naprawić. Z moimi domownikami mam układ. Mąż zajmuje się domem od strony technicznej („złota rączka”) oraz jest królem w meandrach sztuki kulinarnej. Ja biorę na swoje barki „brudną” stronę obowiązków Pani Domu - sprzątnięcie... (...). Czuję się pewniejsza po tym, jak mąż wrzucił do pralki mój kaszmirowy, ulubiony sweter (teraz to tylko kot może go nosić). Utrzymanie porządku to nie lada wyczyn, zwłaszcza z dwu-

latkiem w domu, gdy kanapa nosi ślady odbitych czekoladowych łapek. W pokoju syna jest wszystko: torba sportowa po zeszlotygodniowym treningu piłkarskim, porozrzucane klocki lego, lektura w „Pustyni i w puszczy” na dywanie. U najstarszej córki ściany pooklejane są w „komórki prokariotyczne i eukariotyczne” oraz „wiązania jonowe”. Wydałoby się, że słowo „porządek” jest pojęciem względnym i dla każdego co innego oznacza, lub każdy inaczej funkcjonuje w swoim „porządku”. Jako kobieta lubię, gdy otacza mnie porządek i cenię trywialność domowych obowiązków, które pozwalają zapomnieć o stresie.

Nie muszę być perfekcyjna, najlepsza... Czy nieidealnie posprzątny dom to nasza wizytówka mówiąca prawdę o naszym charakterze? Nie, ale wszyscy kochamy uproszczenia i jeśli usiłujemy nie być osobami powierzchownymi, nieustannie musimy stawiać sobie w głowie miniaturowy znak „stop” zanim wydamy sąd na czyjś temat. Mogę mieć bałagan w szafie ale w uczuciach lubię mieć „poukładane”. Uważam, że gdzie jest miłość, tam panuje nieporządek... O ile przyjemniej jest doglądać znad filiżanki moje, rodzinne, nieidealne królestwo domowe.

(Ewa Siwik)

\*

Podjęłam się tego tematu z osobistych powodów. Jako kobieta półwieczna wciąż nie wyrosłam z kompleksów, które dokuczają mi w konfrontacji z własną mamą - perfekcyjną panią domu, mistrzynią wypieków i przetworów. Wyrosłam w domu, gdzie codziennie był na stole dwudaniowy obiad, w niedzielę ciasto, soboty służyły do gruntownych porządków. Przyznam, że kiedy byłam dzieckiem, wydawało mi się to normalne. Miałam taki model domu zaprogramowany w swojej podświadomości i gdy zaczęłam życie „na swoim”, próbowałam kopiować te wzorce. Szczególnie w pierwszych latach małżeństwa starałam się bardzo, co nie było łatwe z dwójką dzieci, pracą w szkole i wciąż nieobecny mąż. Z roku na rok mój entuzjazm gasł, tym bardziej, że mąż nie wymagał ode mnie tych poświęceń, a synowie nawet ich nie dostrzegali. Zresztą z czym tu mogłam zaszaleć, skoro talentu kulinarnego nie odziedziczyłam po mamie, pedanterii po tacie, a ze skłonnością do przeklinania i miłością do wina wdałam się raczej w obu swoich dziadków.

Dozłam do wniosku, że natury nie da się oszukać, nie ma co kopiować perfekcyjnych wzorców, tylko wypracować model matki i żony sztywny na moją miarę, tak bym i ja była szczęśliwa i cała reszta na tym nie cierpiała. Wpychanie się na siłę w gorset norm sprzed wieków niszczy

czy trzewia. Ale za tę swoją niezależność od oczekiwań społecznych czasem płacę pewną cenę, szczególnie, jak już wspomniałam, w konfrontacji z perfekcyjną panią domu, a przybiera to na sile przed każdymi świętami, kiedy mama tradycyjnie pyta mnie, co już zrobiłam. Zazwyczaj zgodnie z prawdą mówię: „Nic.” „No jak nic?” - słyszę wyrzuty i czuję karcące spojrzenie na sobie. Więc reflektuję się i szukam w pamięci, co mogę uznać za właściwą odpowiedź: „No u kosmetyczki byłam” - przypominam sobie. „I psu dałam jeść. A wcześniej byłam na kijkach. Całe 7 km przeszłam.” - wymieniam z dumą swoją niewątpliwą aktywność i czekam z nadzieją na pochwałę. Myślę się. Nie o to chodziło. O święta chodziło. O porządki. O mycie okien.

Dlatego dla świętego spokoju myję te okna, lepiej raz w roku pierogi, piekę pierniczki z gotowej mieszanki, kupuję babkę piaskową, maluję pisanki...! I przyznam, że też mi z tym fajnie, kiedy przez kilka godzin tak bawię się w dom, w którym pachnie kardamonem, bigosem, grzybami... Być może nawet w deklarowanej feministce drzemie jakiś niezniszczalny gen kury domowej?

Iwona Pawłowska  
 Zuzanna Filipowska (LO)





### Spotkanie

– Witam, witam serdecznie! Czego się napijesz? Kawy? Proszę bardzo, już podaję – Barbara Klimaszewska stawia na stoliku kawę, przysuwa cukier oraz ciasteczka. – A tu są jeszcze dobre czekoladki, żeby się nam dobrze dyskutowało – dodaje z uśmiechem.

Zbliża się godzina siedemnasta. Jak co miesiąc, w środę, w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Złotorzy odbywa się spotkanie Dyskusyjnego Klubu Książki. Przy stoliku zajmuje miejsca grupka kilku osób. Wszyscy znają się od dawna, chociaż od czasu do czasu pojawia się jakaś nowa postać. Zebrani przeczytali w ciągu miesiąca tę samą książkę i teraz będą o niej rozmawiać.

Dyskusję moderuje Małgorzata Zalewska, na początku przedstawiając sylwetkę autora, pobieżnie treść książki oraz rys historyczny. Nakreśla, na co warto zwrócić uwagę w przeczytanej lekturze, a następnie czuwa nad właściwym przebiegiem polemiki i nią kieruje.

Widać, że wszyscy są przygotowani. Kilka osób w swoich egzemplarzach ma pozaznaczone co ciekawsze fragmenty lektury, niektórzy mają własne notatki wraz z numeracją stron. Nie ma problemu z udziałem w dyskusji. Wszystkich przepelnia wręcz pragnienie podzielenia się z innymi swoimi przemyśleniami i opiniami o przeczytanej książce. W zasadzie dyskusja rozpoczyna się już wraz z przestąpieniem progu biblioteki, gdy spotykają się co najmniej dwie osoby przybyłe na spotkanie. Im trudniejsza była lektura, tym żywsza jest potem dyskusja nad nią. A największe spory wywołuje książka, która się nie po-

dobiała, bo wtedy pojawia się paląca potrzeba uzasadnienia tego „niepodobania”. Tu przychodzi ludzi, którzy kochają książki i lubią o nich rozmawiać, dzielić się swoimi opiniami. Ponadto dla członków DKK fascynującą jest możliwość dostępu do nowości literackich i nowych autorów.

Mówi Małgorzata Zalewska, koordynatorka programu i moderatorka:

– Dyskusje są bardzo żywe, merytorycznie na wysokim poziomie, chociaż nie zawsze udaje się je utrzymać w obrębie zadanej lektury. Ale to zupełnie nie

przeszkadza, bo właśnie chodzi o to, że przeczytana pozycja jest przyczynkiem do wielu przemyśleń luźno związanych z daną książką, wywiązują się dyskusje na tematy światopoglądowe i ogólnoludzkie. Wtedy mamy możliwość popatrzenia na nasze problemy dnia codziennego z zupełnie innej perspektywy. I to właśnie daje nam przeczytana przez wszystkich książka.

– Idee Dyskusyjnego Klubu Książki idealnie wpisują się w działalność biblioteki – mówi Aneta Wasilewska, dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Złotorzy. – To miejsce swobodnej wymiany myśli o wspólnie czytanych książkach. W tym momencie czerpiemy przyjemność z dyskusji. Bo ja uważam, że biblioteka jest swojego rodzaju świetlicą terapeutyczną. Jeśli przychodzą tu osoby samotne, u nas mają możliwość kontaktu z innymi ludźmi, rozmowy z nimi. Książka jest tu zaczynem, spoiwem kontaktów międzyludzkich.

### Początki

Ścieżki dla Dyskusyjnego Klubu Książki w Złotorzy przecierała Barbara Klimaszewska, która uczestniczyła w spotkaniu w 2007 roku w Dolnośląskiej Bibliotece we Wrocławiu, sprawującej nadzór merytoryczny nad bibliotekami regionu.

– Były tam bibliotekarki z całego Dolnego Śląska, ponad 50 osób. Wtedy dowiedzieliśmy się, że pierwsze koła powstały już w Warszawie i w Krakowie. Zachęcano nas do organizowania klubów i podkreślano korzyści intelektualne – wspomina Barbara Klimaszew-

ska, koordynatorka programu. – Opowiadano nam o bibliotekach angielskich, gdzie pierwsze kluby czytelnicze powstawały już w 1926 roku! Spotykano się wtedy i niekoniecznie dyskutowano i rozmawiano o książkach, ale też o przepisach kulinarnych, o problemach dnia codziennego, a kobiety zajmowały się robotkami ręcznymi. ☺

Dyrektor Aneta Wasilewska objaśnia genezę powstania klubu:

– Dyskusyjne Kluby Książki to program, który powstał w 2007 roku z inicjatywy Instytutu Książki. Biblioteka złotoryjska zadeklarowała swój udział dopiero w 2010 roku, gdy zaczęłam tu pracować. Placówka ma z tego tytułu określone materialne korzyści. Przede wszystkim finansowane lub częściowo finansowane są spotkania autorskie. Ponadto pakiety książek, które najpierw służą członkom klubu dyskusyjnego, trafiają następnie do zasobów bibliotecznych. Jest to rocznie około trzydziestu tytułów wartościowych, dobrze wydanych książek. Inną korzyścią są szkolenia dla koordynatorów i od niedawna również dla uczestników DKK. (Piszcząca te słowa wraz z innymi członkami klubu miała przyjemność uczestniczyć w warsztatach zorganizowanych przez Dolnośląską Bibliotekę we Wrocławiu w 2019 roku.)\*

Pierwszą omawianą pozycją DKK w Złotorzy była książka noblistki Olgi Tokarczuk „Prowadź swój pług przez kości umarłych”. Wtedy na to pierwsze spotkanie przyszło osiem osób.

### Formuła spotkań

Jest ona niejako narzucona przez Dolnośląską Bibliotekę, która przysyła wykaz pozycji wraz z ich opisem do wszystkich DKK na Dolnym Śląsku. Koordynatorki projektu uważnie wybierają pozycje do omówienia. Kierują się przy tym nagrodami i wyróżnieniami, jakie uzyskują książki. Z tych pozycji podczas spotkania klubu wybierany jest przez uczestników

jeden tytuł. Następnie książka jest kolejno czytana przez członków klubu i omawiana na następnym spotkaniu. Jednak od czasu do czasu ten schemat jest modyfikowany na rzecz spotkań tematycznych.

Mówi Małgorzata Zalewska:



DKK Złotorzy w Dolnośląskiej Bibliotece we Wrocławiu, 2019 r.

– Na przykład tematem jednego ze spotkań było życie Marii Skłodowskiej-Curie, co zostało zaakceptowane przez uczestników DKK. Odbyło się to w ten sposób, że każdy z dyskutantów czytał inną książkę o noblistce, a przedmiotem debaty była nie tylko sama bohaterka, ale też ogólnie jakość pisanych biografii oraz przekładów pozycji obcojęzycznych. Było też spotkanie tematyczne pn. „ulubiona książka z wakacji”. Wtedy każdy klubowicz też czytał inną książkę, a podczas dyskusji dzielił się wrażeniami o wybranej przez siebie pozycji. Korzyść z tego była taka, że wszyscy się powymieniali tymi książkami, bo tak były ciekawie zaprezentowane przez rozmówców.

Ideą klubów dyskusyjnych jest naturalnie wymiana zdań i argumentów. Powinno się to odbywać racjonalnie, bez uczuć, żeby nie przerosło się w kłótnię. Jakże często jednak przeczytane książki wywołują w uczestnikach spotkań takie emocje, że trudno je powstrzymać. A już z najgorzej jest, gdy nie udaje się spokojnie przekonać drugiej osoby do naszej – jedynie słusznej – racji. Niedobrze, gdy dyskusja zmienia się w rywalizację, gdy ten jest lepszy, kto kogo przekona. Oczywiście

ście istotą dyskusji jest spór i przekonywanie do swoich racji, jeśli jednak to się nie powiedzie, należy uszanować opinię innych. Dlatego tak ważna jest rola moderatora, który czuwa nad przebiegiem polemiki i studzi emocje, by nie dopuścić do scysji czy kłótni. Małgorzata Zalewska świetnie się sprawdza w tej roli. Uczestnicy spotkań Dyskusyjnego Klubu Książki w Złotorzy cały czas uczą się zasad dyskursu.

– Zauważyłam, że w ciągu 11 lat działalności klubu nasi czytelnicy poczynili ogromne postępy w wyrażaniu swoich opinii, stale doskonalą styl swoich wypowiedzi, są one śmielsze. Coraz lepiej im przychodzi precyzyjne wyrażanie swoich przemyśleń – mówi Barbara Klimaszewska.

### Garść danych

Spotkania odbywają się co miesiąc, maksymalnie co drugi miesiąc, gdy jest przerwa wakacyjna. Zasadą Dyskusyjnych Klubów Książki jest ich kameralny charakter, dlatego dobrze jest, gdy spotkania nie przekraczają dziesięciu osób, a w Złotorzy przychodzi średnio 6 - 10 dyskutantów. Jeśli chodzi o płeć, to oczywiście przeważają kobiety, które są bardziej aktywne i otwarte na czytelnicze wyzwania. One po prostu nie boją się sięgnąć do innej literatury, która różni się od tej zwykle przez nie czytanej.

Najmłodszy uczestnik DKK, który pojawił się i chodził systematycznie na spotkania, to był Konrad. W tym roku skończyłby 21 lat. Najstarszy uczestnik miał 71 lat.

### Pandemia i lockdown

Rok 2020 niemile zaskoczył wszystkich, a najbardziej tych, którzy prowadzili aktywny tryb życia, polegający na kontaktach z innymi ludźmi. Wprowadzony lockdown absolutnie uniemożliwił spotkania klubu dyskusyjnego. Biblioteka została zamknięta. Co prawda gdzieś w połowie roku udało się przeprowadzić dwa spotkania online, ale uczestnicy nie byli za bardzo przygotowani sprzętowo do tego rodzaju czynności.

Gdy w styczniu 2021 r. poluzowano obostrzenia pandemiczne na tyle, że można było spotkać na świeżym powietrzu, zachowując wymagany dystans, biblioteka zorganizowała spotkanie DKK na alei Miłej. To szczególne miejsce w naszym mieście, będące trochę parkiem, trochę placem zabaw. Ponieważ w styczniu tego roku przypadała setna rocznica urodzin poety Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, spotkanie otrzymało nazwę „Literacki spacer z Baczyńskim”.

Członków DKK tego styczniowego dnia powitała piękna, bezwietrzna pogoda,

świeciło słońce, był lekki mróz. W samo południe dyskutanci stawili się w liczbie chyba ponad dziesięciu osób, wszyscy bardzo dobrze przygotowani. Ponieważ Małgorzata surowo przestrzegała zasad dystansu 3 metrów, musieli prawie krzyknąć do siebie, gdy zabierali głos w dyskusji. Przechodzący ludzie patrzyli z zaciekawieniem, gdy grupka ludzi recytowała wiersze Baczyńskiego i prowadziła (bardzo głośno) intelektualną dyskusję. Po mrocznych miesiącach izolacji to było wspaniałe przeżycie.

W następnych miesiącach nadal trwał lockdown, lecz dozwolone były zebrania na świeżym powietrzu. Wtedy spotkania DKK były organizowane w ogródku restauracji Przy Miłej, oczywiście przy kawie. To były niezwykle spotkania, trzeba było ubrać się bardzo ciepło, ale to zupełnie nie przeszkadzało. Klienci restauracji popatrywali z zainteresowaniem, gdy w ferworze polemiki dyskutanci podnosili głos.

W 2021 roku pandemicznym, przy powszechnym lockdownie, udało się zorganizować osiem spotkań. Z tego większość odbyła się na wolnym powietrzu.

Spotkania DKK odbywają się w każdą ostatnią środę miesiąca o godzinie 17.00. Informacje o terminach są udostępniane na fejsbuku Miejskiej Biblioteki Publicznej w Złotorzy. Ponadto zawsze na drzwiach biblioteki w odpowiednim czasie pojawia się plakat „Dobre książki i kawa”. Jego charakterystyczny wygląd można zauważyć też na słupach ogłoszeniowych w mieście. A najprościej jest przyjść do biblioteki i zapytać o najbliższe spotkanie.

Dyskusyjny Klub Książki w złotoryjskiej bibliotece jest otwarty dla wszystkich, którzy kochają książki. Nie trzeba być zapisanym do biblioteki, ba, nawet nie jest konieczne przeczytanie książki, aby uczestniczyć w spotkaniu. Jeśli masz ochotę, to przyjdź, może podyskutujesz na tematy związane nie tylko z zadaną lekturą.

Od początku istnienia Dyskusyjnego Klubu Książki w Złotorzy odbyło się 90 spotkań. Czekają nas **setne** spotkanie jeszcze w tym roku. Wszyscy się zgadzają, że trzeba je specjalnie uczcić. W jaki sposób? Na pewno zostanie wybrana specjalna książka, a w głowach klubowiczów być może zrodzą się inne, nietuzinkowe pomysły. To będzie z pewnością bardzo ekscytujące.

\* O wyjazdowym spotkaniu DKK pisaliśmy w nr 11-12 /2019 „Echa Złotorzy”.

 **Agnieszka Młynarczyk**

– uczestniczka DKK od samego początku

 **archiwum MBP Złotorzy**



2017 - Dyskusyjny Klub Książki

# Nauczyciel jak pilot



Zdalne nauczanie zbliża się w tym roku szkolnym powoli do końca, przynajmniej na razie. Zainteresowało mnie, co sądzą na temat zdalnej szkoły nauczyciele, rodzice, a nawet udało mi się pozyskać opinie babć, poproszonych o pilnowanie wnuków w czasie zdalnej nauki w trakcie nieobecności pracujących rodziców. Jest to swoiste podsumowanie prawie dwóch lat spędzonych przez uczniów, ich opiekunów oraz nauczycieli przed ekranem komputera.

**Nauczycielka angielskiego 1:** *Nauczanie zdalne zostało wprowadzone praktycznie z dnia na dzień, a wcześniej nie mieliśmy doświadczenia w tym zakresie, każdy z nas „błądził po omacku” i starał się znaleźć swoją metodę na prowadzenie nauczania online oraz przekazywanie wiedzy uczniom w sposób wirtualny. Niewątpliwą zaletą lekcji online, z punktu widzenia nauczyciela, jest oczywiście większy komfort pracy i spokój na zajęciach. Nie musimy upominać rozgadanych uczniów oraz odpowiadać na pytania odbiegające od tematu zajęć, które często pojawiają się w trakcie lekcji. Uczniowie skupiają się ściśle na tym, co omawiamy i nie rozpraszają się innymi sprawami.*

Innym pozytywnym aspektem jest również to, że słabsi uczniowie, którzy mają opory przed aktywnym udziałem w tradycyjnych zajęciach, podczas zdalnego czują większy komfort, gdyż - nawet jak się pomyli, to uwaga całej klasy nie jest skoncentrowana na ich błędach. To daje im poczucie „bezpieczeństwa” i zachęca do dalszych starań. Jest większy nacisk na samodzielną pracę ucznia; większość zadań uczniowie wykonują indywidualnie lub muszą skończyć je po zajęciach, co też daje im możliwość po-

święcenia większej ilości czasu na daną pracę i dopracowanie jej, zanim odeślą ją nauczycielowi. Często również mogą skorzystać z pomocy rodziców lub starszego rodzeństwa i ich oceny zazwyczaj są lepsze niż podczas nauki tradycyjnej. Dla uczniów to z pewnością wielka zaleta nauki online, jednak dla nas nauczycieli - tylko złudne poczucie „odniesienia sukcesu” przez uczniów. Z jednej strony pomoc rodziców lub kogoś innego jest dla uczniów wielkim wsparciem, jednak często właśnie ci „pomocnicy” rozwiązywali w całości zadania lub sprawdziany. Uczniowie dostawali o wiele lepsze oceny niż zazwyczaj, jednak w żaden sposób nie przekładało się to na ich rzeczywistą wiedzę, której braki wychodziły zaraz po powrocie do nauki w szkolnych ławkach. Nauczyciele - nawet przy włączonych kamerkach, w żaden sposób nie byli w stanie kontrolować, na ile praca uczniów była samodzielna, gdyż jak wiadomo „dla chcącego nic trudnego” i każdy, kto chciał korzystać z pomocy kogoś lub z innych źródeł, miał idealną okazję podczas nauki zdalnej, aby to zrobić.

Również z perspektywy nas - nauczycieli, przekazywanie wiedzy w sposób wirtualny było o wiele trudniejsze i nie tak efektywne, niż ma to miejsce na żywo. Podczas tradycyjnych lekcji jesteśmy w stanie monitorować na bieżąco zrozumienie tematu przez uczniów. Sam wyraz ich twarzy, mimika czy gesty i sposób zachowania dają nam pojęcie o tym, na ile omawiany materiał jest przyswajany przez nich: czy w zajęciach, czy „bujają w obłokach”. Podczas nauki zdalnej jesteśmy tego zupełnie pozbawieni. W większości przypadków, uczniowie „chowają” się za wyłą-

czoną kamerką; często tłumacząc się jej brakiem (bądź awarią mikrofonu); jednak bardzo często jest to ich metoda, aby nie uczestniczyć w zajęciach lub nie brać w nich aktywnego udziału. Dla nas nauczycieli jest to bardzo frustrujące, aby mówić do samych ikonki i uzyskać odpowiedź na zadane pytanie, gdyż często okazuje się, że mimo widocznej ikonki - po drugiej stronie nikogo po prostu nie ma albo zajmuje się czymś innym. Do tego dochodzą również rozmaite problemy techniczne, na

które ani my, ani uczniowie, nie mamy wpływu, co bardzo utrudnia komunikowanie się.

Dla mnie jako nauczyciela, największą wadą nauczania zdalnego jest brak żywej interakcji z uczniem oraz komunikacji niewerbalnej, które często są o wiele ważniejsze niż samo przekazywanie informacji czy ich słuchanie. Bycie nauczycielem to nie tylko skupianie się na tym, aby zrealizować podstawę programową, ale przede wszystkim bezpośrednia interakcja z uczniem; rozmowa, reagowanie na jego nastrój, dostrzeganie nawet drobnych sukcesów i wychwytywanie tych momentów, w których uczeń sobie po prostu nie radzi (czy to z nauką czy ze sprawami osobistymi). Jako wychowawca i nauczyciel widzę, ile szkody przyniosła nauka zdalna, nie tylko w kwestii braku wiedzy.

Wielu uczniów „przepadło” w wirtualnym świecie, przestali wychodzić z pokoju, spotykać się ze znajomymi, interesować czymkolwiek. Siadali rano w piżamie przed ekranem komputer i spędzali tak cały dzień. Pojawiło się o wiele więcej problemów obniżonego nastroju, wyobcowania, poczucia bezsilności i depresji, które odbiły poważnie piętno na wielu uczniach. Zapracowani rodzice często nie mieli kontroli nad tym, jak wygląda nauka zdalna ich dzieci, a my straciliśmy możliwość kontrolowania tego wszystkiego właśnie poprzez brak bezpośredniej interakcji z uczniami. Dlatego też, uważam, że mimo niektórych zalet nauki zdalnej dla uczniów i dla nas, nauka tradycyjna, ta w szkolnych ławkach, jest nieporównywalnie lepsza i bardziej efektywna.

**Nauczycielka angielskiego 2:** Ucznio-

wie na początku byli zadowoleni, że mogą siedzieć przed komputerem, dłużej pospać, pisać sprawdziany i kartkówki online. Jednak z czasem okazało się, że brakuje im życia szkolnego, kontaktów z rówieśnikami, spraw szkolnych, a nawet rozmów na żywo z nauczycielami. Pojawiły się depresje wśród dzieci i młodzieży, wycofanie, problemy z nawiązywaniem kontaktów. Nauczyciele podejmują ogromny trud, aby jak najlepiej przekazać wiedzę uczniom, ale praca zdalna często nie daje takich rezultatów, jakich by oczekiwali. Uczniowie są obecni na początku lekcji, natomiast później nie zabierają głosu, nie uczestniczą w lekcji i kontakt z nimi jest bardzo utrudniony. Działa to bardzo demotywująco i często powoduje przygnębienie. Faktem jest, że każda forma sprawdzania wiedzy nie daje miarodajnych wyników, nieważne, w jaki sposób zostanie zorganizowana przez nauczyciela. Stan pandemii wystawił nas - nauczycieli na ogromną próbę. Nie mamy jednak znaczącego wpływu na tę sytuację, musimy się z nią pogodzić i starać się robić wszystko, aby nie tylko nauczać, ale również wspierać dzieci i młodzież w tym trudnym czasie.

**Nauczycielka matematyki:** Największym problemem dla mnie było zdalne tłumaczenie geometrii. Pomocny był tu wizualizer oraz tablet graficzny. Był także problem z Internetem, uczniowie często nie mieli zasięgu. Każdy sprawdzian musiałam przygotować w specjalnej aplikacji. Przy rozwiązywaniu ich nierzadko dzieciom pomagali rodzice. Ciężkie było także nauczanie stacjonarne łączone ze zdalnym, podczas kwadrantanny części klasy.

**Nauczycielka fizyki i chemii:** Zdalne nauczanie wprowadzone w polskich szkołach na czas pandemii koronawirusa było dla zdecydowanej większości nauczycieli, dzieci i rodziców nowym doświadczeniem. Moja przygoda ze szkołą zaczęła się na miesiąc przed wprowadzeniem zdalnej nauki po raz pierwszy. Jednak dopiero od września zostałam etatowym nauczycielem. Praca w podstawówce ma swoje plusy, bo kreujemy świat młodych ludzi, możemy ich nakierować na przyszłe wybory. Od nas tak naprawdę zależy, czy danego przedmiotu będą uczyć się z chęcią czy wręcz przeciwnie.

Od września szkoła ruszyła z obostrzeniami, ale funkcjonowała. Z dnia na

dzień szkoły zostały na nowo zamknięte. Nauczyciele i uczniowie zostali skazani na siebie. Polski nauczyciel jest jak polski pilot, co to ponoć i na drzwiach od stodoły polecą. Nauczyciele dali radę. Postawieni w potrzebie zdobycia błyskawicznie nowych kwalifikacji zakasali rękawy, zarwali nocki, zawłaszczyli domowe laptopy i ruszyli w bój. Satysfakcję z wniosku, że „dali radę” zaburza świadomość, że mało kto to docenia. W końcu nauczyciel ma wpisany w zawód ciągle kształcenie i podnoszenie kwalifikacji. A praca ich przypominała jazdę górską kolejką bez trzymanki jesz-



cze bardziej niż zwykle. Pytanie, na ile mamy świadomość, że to nie wynik zdalnej edukacji. To wynik wszystkich mankamentów polskiej szkoły, z którymi borykamy się już od lat. Niektórzy poradzili sobie lepiej, inni gorzej. A ci nauczyciele, którzy uniknęli problemów to nie dlatego, że dobrze sobie radzą z e-learningiem. Oni sobie dobrze radzą z wprowadzaniem szkoły w XXI wiek tak-

że w murach szkoły. Niestety - przy oporze, a czasami wbrew wyraźnym zaleceniom władz oświatowych.

Wprowadzenie zdalnej edukacji w szkole pokazało, jak wielka jest przepaść technologiczna między nauczycielami, a uczniami. Spora część nauczycieli, także tych młodych, podchodzi jak do jeża do platform edukacyjnych, komunikacji on-line i tego całego Internetu. Pokazuje to, jak bardzo odstaje od współczesności kształcenie nauczycieli na kierunkach nauczycielskich podczas studiów. Ilu z nas miało podczas zajęć metodologię zdalnego nauczania? Ja zdo-

byłam kompetencje do pracy przy komputerze pracując w korporacjach, tam szkolenia były z prawie każdego programu. Jednak nawet i ja pytałam się uczniów, jak zmienić to czy tamto.

Młodzi ludzie są bardzo obrotni, jeżeli chodzi o nowe technologie. Nie uważając siebie jeszcze za starszkę, nie miałam pojęcia, o czym oni do mnie mówią. Jak to się ma do tego, że to nauczyciel

## Blżej szkoły

Po artkule „Daleko od szkoły” odezwała się do nas jedna z czytelniczek, by podzielić się zupełnie inną historią niż opisane w tym tekście. Krystyna pożegnała korporację, by rozpocząć pracę w szkole. Jakie były tego powody i czy jest to według niej dobra decyzja?

„A ja porzuciłam inny zawód, by zostać nauczycielem. Skąd taka decyzja? Mam wolne wtedy, kiedy dzieci mają wolne. W końcu mam czas na bieganie z nimi po lekarzach, nie muszę prosić o opiekę w ferie, wakacje i w inne dni, kiedy szkoła ma wolne. Z perspektywy czasu to była najlepsza decyzja w życiu. Po pracy w korporacjach nie umiałam na początku się odnaleźć. Wolne weekendy, popołudnia i w święta... Dlatego zaczęłam doszkalać swój warsztat nauczyciela na studiach podyplomowych i tak w ciągu 3 lat ukończyłam 6 kierunków. Tylko, że za wszystko musiałam sama zapłacić. Pensja w szkole to końcówka pensji w korporacji. Dlatego musiałam przystopować ze studiami.

W korporacji liczyły się przede wszystkim umiejętności, wytrzymałość psychiczna, język obcy a najlepiej kilka. Praca w szkole jest zdecydowanie spokojniejsza, można sobie zaplanować weekend, popołudnie. Jest bardzo przewidywalna. Dla mnie jest bardziej satysfakcjonująca. Wyzwania są codziennie, praca z ludźmi, którzy mają całkiem inny charakter niż ja. W korporacji były tematy dobierane tak, aby ludzie ze sobą współdziałali, mieli podobne cele i charaktery, aby zminimalizować ryzyko kłótni. Liczył się zespół i na zespół stawiano nacisk. W szkole uczniowie stawiają sami na siebie, nie ma zgrania, nie ma czasu na lepsze wzajemne poznanie, bo temat goni temat. Pół biedy, gdy jest się nauczycielem przedmiotu nieegzaminacyjnego, wtedy można trochę poszaleć, ale w przypadku przedmiotów egzaminacyjnych liczy się realizacja materiału, podstawa programowa to wyznacznik wszystkiego.

Nie żałuję mojej decyzji, nigdy nie była to decyzja finansowa, więc za bardzo na wypłatę nie narzekam, bo inne korzyści są niepolityczne. Dla mnie był ten czas wolny dla dzieci, one potrzebują wsparcia i psychologicznego, i logopedycznego, lekarzy specjalistów (jak u młodszego kardiologa, alergologa a u starszego lekarza od chorób metabolicznych). Nasze wydatki na terapię nieraz w miesiącu przekraczają moją wypłatę, ale liczyliśmy się mężem z tym i odłożyliśmy na kilka lat. Ja nawet nie musiałabym teraz pracować, ale szkoda mi było siedzieć w domu. Nie po to tyle lat studiowałam, uczyłam się i zdobywałam różne umiejętności, aby tylko siedzieć w domu.

Na pewno już nie wrócę do korporacji, bo praca w szkole to moje miejsce. Gdybym jednak była po studiach z takimi perspektywami pracy w szkole jak teraz, z takim rozwojem, finansowaniem studiów (w korporacji za kilka studiów, które zrobiłam w całości zapłacił zakład pracy), z taką wypłatą, to nigdy nie poszłabym do pracy w szkole. W tej chwili mnie na to stać. Mamy dom bez kredytu i trochę oszczędności na emeryturę. Nie musimy już gonić, dlatego wizja pracy i takiej ilości wolnego dla mnie jest najlepsza. Jeżeli coś zmieni, to będę musiała się zastanowić.

Jak się okazało, ja bardzo lubię uczyć i nie chodzę do pracy za karę, a wręcz w nagrodę. Gdy to ma się ten luksus, że finanse nie są najważniejsze, to ta praca jest fascynująca. W tym roku mam wychowawstwo, nowe problemy, nowe wyzwania, ciągle coś, ale ja jestem w swoim żywiole. Każdemu życzę, aby znalazł swoje miejsce na ziemi. U mnie zajęto to 22 lata, ale udało się. Ja po prostu bardzo lubię obecną pracę.”

 **Krystyna Orzechowska**  
**Oprac. Iwona Pawłowska**

ma uczyć ucznia, a nie odwrotnie? Nauczyciel ma być autorytetem dla ucznia, a w wielu obszarach przydatnych kompetencji uczeń przewyższa nominalnego mistrza. Wiem, że nie pójdę za bardzo z programem do przodu, który jak siekiera wisi nad karkiem nauczyciela. Podstawa programowa musi być zrealizowana, a co z tego, że program przeładowany. Uczymy rzeczy, których

obecnej, żadnych korzyści z niej płynących nie widzę. Widzę natomiast klasy, które nie są już zgrane, widzę uczniów odsuniętych na margines, widzę zestresowanych nauczycieli, którzy mierzą się z rosnącymi problemami, tylko przy wsparciu dyrekcji, szkolnych pedagogów.

Państwo zostawiło nas samym sobie. Jednak nie obawiam się – nauczyciele są elastyczni. Na innych drzwiach od stodoły też polecą.

**Nauczycielka polskiego:** Zdalna nauka wymaga z mojej strony ogromnego zaangażowania, a ze strony uczniów jest ono małe. Na zdalnym pracuje się lepiej z młodszymi dziećmi, są aktywne, zabierają głos. Zauważyłam pewną prawidłowość, że dzieci sprawiające kłopoty wychowawcze w klasie, słabsze w nauce, na zdalnym potrafią się skupić i odpowiadać na pytania. Prawdopodobnie siedzą też z nimi rodzice i im pomagają. Nie lubię lekcji zdalnych w klasie 7, bo jest to taki „seans spirytystyczny”, jak ja to nazy-

uczeń w obecnej sytuacji nie używa, a nie używając zapomni. Tak działa nasz mózg. Nie ma czasu na porównanie teorii z praktyką, a tak najlepiej się nauczyć. Zajęć praktycznych z chemii czy fizyki brak, na zajęcia dodatkowe chodzi garstka, bo nie dość, że są późno, to jeszcze trudno wcisnąć je w i tak przeładowany plan dnia takiego ucznia. Mam tylko nadzieję, że uczniowie docenią ogrom swojej pracy i kiedyś skorzystają z doświadczeń zdalnej nauki. Po okresach zdalnej nauki do chwili

wam. Mam wrażenie, że po powrocie do szkoły nie pamiętają prawie niczego ze zdalnego. Niektórzy nie mają notatek. Dziwi mnie, że dzieci chcą zdalnego nauczania. Szczególnie w tym roku są rozleniwieni. Jakoś nie brakuje im życia szkolnego, spotykają się z kolegami po lekcjach. Zeszłoroczna zdalna nauka wpłynęła też znacząco na niższe wyniki egzaminu. Dzieci uczą się mniej niż na normalnych lekcjach. Wtedy mogą pracować w grupach, współpracują ze sobą.

**Nauczycielka wychowania fizycznego:** Jak się uczy zdalnie wf? Jak można realizować jakieś sprawności, gdy dzieci nie mają warunków do tego - miejsca i sprzętu? Raczej skupiamy się na teorii, pierwszej pomocy, zasadach gry. Ja się cieszę z każdej formy ruchu, więc oceniam także aktywności uczniów na własnych podwórkach, np. pokonywanie samodzielnie ułożonego toru przeszkód. Uczennica zrobiła podobny do tego, jaki zapamiętała z lekcji. Jeśli wysyłałam filmiki z ćwiczeniami, to warunkiem było bezpieczeństwo w trakcie ich wykonywania. Często rodzice byli obecni przy ćwiczeniach. Odsyłałam im potem filmiki, na których uczniowie pokazywali np. jazdę na rowerze, taniec, ćwiczenia akrobacyjne, grę w piłkę, a nawet zajęcia przy koniach w stadninie. Mam radość z tego, że dzieci ćwiczą, są aktywne. Nie muszą włączać kamer, bo mają różne warunki w domach, więc jest to dla nich stresujące. Dla mnie najważniejsze jest zdrowie i dlatego uważam, że dzieci powinny mieć jak najwięcej ruchu, aby nie było tylu schorzeń układu ruchu.

**Nauczycielka wychowania przedszkolnego i mama dwojga uczniów:** Gdy przedszkolaki miały zdalne, bardzo dobrze współpracowały z rodzicami. Bardzo chętnie pracowali z dziećmi popołudniu, robili z nimi prace, nagrywali filmiki. W wielu domach nie było sprzętu dla najmłodszych dzieci, bo starsze rodzeństwo uczyło się zdalnie, więc z maluchami nie łączyliśmy się. Dużo więcej czasu zajmowało mi przygotowanie do zajęć, aby dzieci coś wyniosły z tej nauki. Jako rodzic musiałam doglądać przy zdalnej nauce dzieci i sama tak pracować. Mój czwartoklasista przeszedł do następnego etapu, a nawet nie zdążył dobrze poznać kolegów. Nie mieli na początku ze sobą kontaktu. Dziecko musi sobie samo poradzić z obsługą komputera, do tego czasem dochodzą problemy zdrowotne. Moja starsza córka – uczennica liceum chwali sobie zdalne, jest z natury nieśmiała, więc jest bardziej aktywna, gdy nie musi odpowiadać na forum.



**Babcia 1:** Mój wnuk jest w 5 klasie.

Rodzice pracują, a gdyby nie daj Boże coś się stało, gdy jest sam w domu... Obie babcie pomagają, jak mogą. Rodzice odrabiają z nim popołudniu zadania. Babcia pilnuje, żeby włączył o właściwej godzinie komputer. Wnuk chce być sam w pokoju podczas nauki zdalnej, ale to „sam” różnie wygląda. Dzieci nie rozumieją, że jak siedzą przy biurku we własnym pokoju to jest lekcja. Lekcja to dla nich pobyt w szkole. Nie muszą mieć włączonych kamer, a nawet jak mają włączoną, to jak nie chce się skupić, to robi inne rzeczy: coś rysuje, ogląda. Nie podpowiadam mu w nauce, ale słyszę, że niektórzy tak robią. Mają też zajęcia zdalne z wf, ale są one dostosowane do warunków w domu. Plastyka polega na odsyłaniu zdjęć prac, bo nie zdążą zrobić w ciągu pół godziny. Zmieniamy się z drugą babcią przy opiece. Mamy dżury.

Zdalne nauczanie zmieniło perspektywę kontaktów między babcią a wnukiem. Do tej pory babcia kojarzyła się z przytulaniem, nie wymagała za dużo. Teraz babcia przychodzi do wnuka jak stróż, jak cerber. Jest to obowiązek i mało komfortowa dla nas sytuacja. Początkowo nie mogłam się przyzwyczaić do zmiany tych relacji. Według mnie zdalna nauka nie jest dla dzieci w wieku mojego wnuka. Tym bardziej dla młodszego z pierwszej klasy. Jak zaczyna się tydzień, to dzieci chętniej pracują przy komputerze. Przed weekendem są już bardzo zmęczone, niechętnie do pracy. Często w przerwach między lekcjami grają z kolegami, potem trzeba im przypominać o włączeniu się do lekcji. Nie znają żadnej innej zabawy niż komputer i gry. Na szczęście rodzice wyciągają dzieci po zrobieniu lekcji z domu.

**Babcia 2:** Moja wnuczka miała zdalne w „zerówce” na kwarantannie. Jak dziecko musi wycinać lub skleić, to babcia biega i szuka nożyczek i kleju. Małe dziecko pracuje w swoim, dość wolnym tempie. Denerwuje się, jak trzeba coś poprawić, np. strój galowy albo flagę na 11 Listopada. Ja akurat mogłam ją pilnować, ale jeśli rodzice, nawet starszych dzieci, muszą iść do pracy, to stresują się, czy coś się w domu nie stało. Babcia ma kochać, a nie pilnować. Jedynym plusem zdalnego jest to, że gdy dziecko jest chore, to nie traci kontaktu ze szkołą. Ja sama jestem emerytowaną nauczycielką biologii. Miałabym obecnie problem z brakiem możliwości bezpośredniego kontaktu. Trzeba coś pokazać, dotknąć, a nie tylko o tym opowiadać.

Jak wynika z przytoczonych opinii, nauka zdalna ma wiele minusów, ale są i plusy. Można zadać sobie w takim razie pytanie, jakie jej doświadczenia można wykorzystać w szkole stacjonarnej? Czy kształcenie na odległość upowszechni się w przyszłości? A może okres nauczania zdalnego powinien skłonić szkołę do refleksji nad zmianami w sposobie pracy z uczniami?

 **Wypowiedzi zredagowała**  
**Wioleta Michalczyk**  
 **Kajetan Kukla**



## Dom mojego dzieciństwa

Czerwiec rok 1967, moja mama, która właśnie, pekaesem, wróciła ze szpitala w Cieplicach, tuląc mnie do piersi odstośniła mi twarzączkę z becika i mówi: „Widzisz Beatko, tu jest twój dom”.

Dom mojego dzieciństwa mieści się w dolnej części Świeradowa Zdroju, przy ulicy Ratowników Górskich 3 (dawniej była to ulica „15-go Grudnia” – ale kto dziś pamięta, co się wtedy zdarzyło?). Spędziłam w nim pierwsze 14 lat mojego życia. Mój dom to dwupiętrowy budynek ze strychem, który zamieszkiwały 3 rodziny. Należał wówczas do nadleśnictwa, gdzie pracował mój tata. Nad drzwiami wejściowymi znajdowała się czerwona tabliczka z białym szyldem „Leśnictwo Niedźwiedzia Góra – Świeradów Zdrój”. Moi rodzice zamieszkali tam na początku lat 60. XX wieku. Nasza rodzina zajmowała mieszkanie na pierwszym piętrze. Nad nami mieszkał samotnie Paweł, wdowiec, kolega mojego taty z pracy. Na dole pomieszkiwała coraz to inna rodzina, ale zawsze z dwójką dzieci. Na wprost klatki schodowej znajdowały się drzwi do kancelarii, w której urzędował mój tata jako leśniczy. Przyjmował w niej swoich pracowników i sporządzał różne pisma. Tam też załatwiał papierkowe sprawy koła łowieckiego, bo pełnił w nim funkcję sekretarza. Jego pasją było myślistwo. Gabinet taty to był inny świat. Na środku, tyłem do okna, stało ogromne biurko z maszyną do pisania i stojakiem z pieczętkami. Pachniało tam lubryką, którą leśnicy znakowali drzewa do wycinki i „fajami”. Na ścianach wisiały poroża, a na regale obok segregatorów stał przezroczysty pojemnik z zakonserwowanymi truchłami kornika drukarza i wskaźnicy modrzewianeczki. Podłogę zdobiła skóra z dzika, zresztą tak jak w sypialni rodziców. Nasze mieszkanie składało się z dwóch części oddzielonych korytarzem. Życie rodzinne toczyło się w kuchni i dwóch poko-

jach. Jeden z nich zajmowała ja z moimi dwoma starszymi braćmi a drugi był pokojem gości. Po przeciwnej stronie korytarza były jeszcze dwa pokoje: sypialnia rodziców i „sanktuarium” mojej mamy z nowymi meblami, które skrywały sekretne schowki. W jednym z nich mama trzymała luksusowe, zdobywane okazjonalnie w sklepach, łakocie na specjalne okazje. W każdym z pokoi znajdował się piec kaflowy, więc zimą mój tata miał sporo roboty przy obsłudze ich wszystkich. Pamiętam, że zostało mu na zawsze zamiłowanie do dłuższego przesiadywania przy piecu, kiedy mógł sobie ze spokojem wypalić ulubionego papierosa. Dom znajdował się w osoblwym sąsiedztwie ruin ważnych dla Świeradowa. Był to stary kompleks budynków „Altes Kurhaus”, czyli „Starego Zdroju” z pierwszą pijalnią wód, która związana była z ciekawą historią. W 1878 r. niejaki hrabia Ludwik założył tam łaźnię tzw. „Ludwigsbad”. Krążyły wśród moich sąsiadów opowieści, że w piwnicach tych łaźni utopił się jakiś nietrzeźwy mężczyzna, bo stała w nich woda po kostki. Ile było w tym prawdy, nie wiem, ale wówczas, gdy miałam kilka lat, opowieści te działały mocno na moją wyobraźnię. Powodowały strach i budziły we mnie grozę, zwłaszcza wieczorem, gdy musiałam pójść do tego pokoju, którego okna wychodziły bezpośrednio na owe ruiny i piwnice. Dzisiaj nie ma śladu po tamtych ruinach. Na ich miejscu powstał ogromny hotel trzygwiazdkowy pod nazwą „Stary Zdrój”. Któr-



rejś nocy obudził mnie trzask płonących dachówek i krzyk ludzi. Z okien pokoju, w którym spałam, zobaczyłam wielki pożar sąsiedniego budynku. Wszyscy sąsiedzi pomagali ratować dobytek mieszkańców tego domu. Patrzyłam na to z przerażeniem. Na szczęście z innych okien mojego domu rozpościerał się już ciekawszy widok, który nie budził we mnie strachu, ale działał kojąco. Najpiękniejszy krajobraz miałam z okna w kuchni. Lubiłam, zwłaszcza latem, siadać na parapecie i patrzeć na góry porośnięte świerkami, nad którymi w czasie niepogody wisiały kłębiące się chmury, zwiastujące deszcz albo burzę. Stamtąd też obserwowałam z podnieceniem błyskawice, po których roznosił się w powietrzu rozdzierający niebo grzmot. Kuchenne okno wychodziło na duże podwórko - miejsce moich dziecięcych zabaw. Rosła tam wysoka lipa, a pod nią mieliśmy piaskownicę. Po drugiej stronie, obok krzaka z fioletowym bzem, była huśtawka. Za podwórkiem mieliśmy górkę, z której zimą razem z innymi dziećmi z okolicy zjeżdżałam na sankach. Wieczorem, kiedy trzeba było wracać do domu, robiliśmy na śniegu „orta” i na leżąco patrzyliśmy na rozgwieżdżone niebo zwiastujące mróz. Moi rodzice mieli ten komfort, że byli spokojni, widząc mnie bawiącą się niedaleko. Na parterze domu z tyłu znajdował się Klub Leśnika „Jelonek”. Tam spotykali się pracownicy nadleśnictwa głównie służbowo, ale często też towarzysko. Wiadomo, co znaczyło w tych czasach spotykać się towarzysko, przecież „biez wodka nie robieriesz”. Tam nauczyłam się grać w bilard. W klubie kupowaliśmy do domu skrzynkami lokalną wodę mineralną „Czerniawian-



kę”. Pamiętam też niepowtarzalny smak klubowej „Coca Coli” i soku grejfrutowego w puszkach marki „Dodoni”, który uwielbiała moja mama. Cały ganek klubu był drewniany. Spędzałam tam całe godziny na urządzaniu domu dla lalek i przeprowadzaniu eksperymentów kulinarnych w „niby kuchni”.

Ze względu na swój zdrowy charakter Świeradów podzielony jest na dwie części. Górną, dla kuracjuszy, gdzie w centrum mieści się park z głównym Domem Zdrojowym i źródłem radoczynnej wody leczniczej, a dookoła wzniesiono mnóstwo domów sanatoryjnych, hoteli, restauracji i pensjonatów. I dolną, przy rzece. Tam swoje domy mają stali mieszkańcy Świeradowa. Mieszkałam w tej drugiej części i do szkoły miałam pod górkę. Ulica, przy której stał dom, była odnogą chyba najdłuższej w Świeradowie ulicy Nadbrzeżnej biegnącej w kierunku Szklarskiej Poręby. Pamiętam, że jako kilkuletnia dziewczynka stałam na górze i kibicowałam polskim kolarzom, gdy przejeżdżał tamtędy ówczesny majowy Wyścig Pokoju. A moja mama opowiadała, że w 1968, rok po moim urodzeniu, widziała sprzęty wojskowe ciągnące tą drogą w kierunku Czechosłowacji. Ten widok wywołał w ludziach przerażenie i strach przed wojną. Zupełnie jak dzisiaj, gdy obserwuje się zdjęcia satelitarne znad granicy rosyjsko-ukraińskiej.

Płynąca z tyłu domu bystra rzeka Kwisa także zapraszała do zabawy. Na kamieniach rzecznych urządzałam sobie wyspy, a krystaliczna woda zamieniała się w mojej wyobraźni w ocean. Rzeka miała swój urok o każdej porze roku. Nie raz spędzałam kilka godzin latem w lodowatej wodzie, budując z koleżan-

kami i kolegami tamę. Raz skończyło się to drugiego dnia wysoką gorączką, ale za to tama była imponująca i dzięki temu mieliśmy super miejsce do pływania. Woda w Kwisie zawsze była lodowata, tyle że w zimie bardziej. Któregoś deszczowego lata Kwisa zamieniła się w rwący, spieniony, bury nurt. Wtedy było niebezpiecznie, zwłaszcza gdy jej poziom był na tyle wysoki, że się wylewała z koryta rzeki. Na szczęście było ono dobrze umocnione. Zimą, kiedy rzeka była skuta lodem, robiliśmy sobie lodowisko. Pięknie wyglądały ogromne sople tworzące się pod mostem. Miały przeróżne ciekawe kształty, skrzyły się w słońcu i wyglądały jak drogocenne skarby. Tak to sobie wtedy wyobrażałam.

Dom mojego dzieciństwa wspominam jako bardzo bezpieczne i przyjazne miejsce, gdzie czułam się beztrosko i szczęśliwie. Z moimi sąsiadami tworzyliśmy wspólną wspólnotę. Dużo rodzin pochodziło z Kresów i wielu z nich było rodowitymi Ukraińcami. Wszyscy mogli na siebie liczyć. Rodzice urządzali przyjęcia imieninowe i zapraszali sąsiadów. W przydomowym ogrodzie odbywały się imprezy przy ognisku i pieczenie kiełbasek (które wcześniej trzeba było wystać w sklepie). Starsi i młodszy śpiewali piosenki przy akompaniamencie akordeonu. Nasza sąsiadka z dołu dzieliła się świeżo upieczonym ciastem albo czymś, co akurat przyrządziła. Zawsze gotowała z nadmiarem. A ponieważ pracowała w sklepie, załatwiała nam także różne deficytowe wówczas towary, nawet AGD. Sąsiadka z góry, kiedy jeszcze żyła, zapraszała całą naszą trójkę (mnie i moich braci) na pyszne, oczywiście ręcznie robione, pierogi z jagodami uzbieranymi w pobliskim lesie. Pamiętam, że domy moich sąsiadów były zawsze otwarte dla dzieci z okolicy. Zapraszali całą rozbawioną czeredkę, częstowali obiadem, kromką chleba ze smalcem czy gotowanym bobem. Mogliśmy biegać po ich posesjach, bawić się w ogródkach, objadać się owocami zerwanymi prosto z drzew czy strąkami zielonego groszku albo wy-

ciągniętą prosto z ziemi marchewką. W końcu mogliśmy także, gdy była taka potrzeba, skorzystać z ubikacji. Jedna znajoma z ulicy Nadbrzeżnej miała dom, w którym z części mieszkalnej przez korytarz przechodziło się bezpośrednio do stajni. Trzymała w niej krowę, kury i indyki. Lubiłam przyglądać się, jak je oprowadza. Sąsiadka nie miała swoich dzie-



ci, więc lubiła, gdy asystowaliśmy jej w pracach gospodarskich. Któregoś razu postanowiła nauczyć mnie doić krowę. Pamiętam, że byłam bardzo przejęta, bo wydawało mi się, że to krowę może boleć. Ale udało się. Mleko przecedziłyśmy przez gazę i jeszcze ciepłe wypiliśmy. Aż nadszedł rok 1981 i musieliśmy przenieść się do Złotoryi. Ale to już całkiem inna historia.

Beata Jańta

## Historia zapisana w kamieniu

Szukając ciszy, kontaktu z naturą i w potrzebie oderwania się od codziennej, szarej rzeczywistości, w sierpniu 1988 roku studenci Politechniki Wrocławskiej, wędrując ze Złotoryi przez Krucze Skały, zabytkowy dworzec kolejowy z drewnianą werandą, i przechodząc obok budynku dawnego uzdrowiska, znaleźli się w miejscu przy wodospadzie na rzece Kaczawa w Jerzmanicach-Zdroju.

Urok otaczającej przyrody i magia tego miejsca odcisnęły się piętnem na uczestnikach spotkania, którzy postanowili spotykać się w Jerzmanicach-Zdroju każdego roku w pierwszą sobotę sierpnia. Dorosłe życie chłopaków w znacznym sposób zweryfikowało wyobrażenia o otaczającym ich świecie, a potrzeba osiągnięcia sukcesów zawodowych, zapewnienie bezpieczeństwa rodzinie i miłość do dobrobytu spowodowały zmianę w sposobie dążenia do postawionych sobie celów. Mijały lata, każdy z chłopaków powoli przygotowywał się, aby zapukać do drzwi, za którymi czekały uprawnienia do świadczeń emerytalnych, ale to nie przeszkadzało w corocznych spotkaniach nad wodospadem w Jerzmanicach-Zdroju.

W 2019 roku, jak zwykle w pierwszą sobotę sierpnia, przy wodospadzie tliło się ognisko, pachniało pieczoną kiełbasą i słychać było nieco frywolną piosenkę Leonarda Cohena „Tonight Will Be Fine”, co w języku polskim znaczy: „Dziś w nocy będzie fajnie”. Piosenka ta, śpiewana przy akompaniamencie gitary, przypominała chłopakom studenckie czasy, w których starali się pogodzić

naukę z zabawą, ale często proporcje między tymi dwoma bytami ulegały zachwianiu na... niekorzyść nauki.

Stońce już spąsowiło, dając znak o nadchodzącym zmierzchu, gdy jeden z uczestników, chcąc dorzucić kilka gałązek do ogniska, potknął się, i aby nie stracić równowagi oparł dłoń o mur oporowy, wykonany z piaskowca. Zdarły mech odsłonił w tym miejscu wyżłobiony w kamieniu rowek, który po usunięciu kolejnych warstw mchu przybrał kształt litery „P”. Fakt ten uznano za odkrycie i przy użyciu dostępnych narzędzi usunięto mech z całej powierzchni kamienia. Oczom chłopaków ukazał się napis o następującej treści: „R.S. L.S. 1949 Z.H.P. ŁASK.”

Właściwie w wyrytych znakach nie byłoby niczego nadzwyczajnego, jest to powszechna, ale i niechlubna forma zosta-



wiania „pamiątek” pobytu turystów, czy wyznawania uczuć. Jednak wpisany rok „1949” nadawał inskrypcji innego znaczenia i zainspirował „odkrywców” do podjęcia działań w celu wyjaśnienia zagadkowych rytów. Harcerze z Łaska w okolicach Złotoryi w 1949 roku? To ciekawa zagadka do rozwiązania...

Na początku II wojny światowej w byłym uzdrowisku w miejscowości Hermsdorf am Katzbach ulokowano dzieci z Berlina. Później znajdować się tu miał szpital wojskowy. W dniu 12 lutego 1945 roku czołgi 56 Brygady Pancерnej Gwardii po opanowaniu miejscowości Pielgrzymka uderzyły na Jerzmanice-Zdrój (wówczas Hermsdorf am Katzbach), które były bronione przez grupę bojową 408 Dywizji Piechoty. Niemcy wysadzili wszystkie mosty na Kaczawie i trzymali pod ostrzałem brody. Ostatecznie wieś została zdobyta przez brygadę w późnych godzinach popołudniowych, ale w nocy z 12 na 13 lutego 1945 roku w dalszym ciągu kontynuowane były walki o brody na Kaczawie. Według Rosjan Niemcy skierowali do walki w Jerzmanicach-Zdroju tzw. grupę dywersyjną, której ce-



lem było zwalczanie radzieckich czołgów. Była to zapewne grupa niszczycieli czołgów uzbrojona w pancerfausty. Została ona rozbita, a wziętych do niewoli czerwonarmiści rozstrzelali. Ostatecz-

nie brygada przeprawiła się przez Kaczawę i 13 lutego wzięła udział w walkach na ulicach Złotoryi (Goldberg).

Po wojnie w budynku byłego uzdrowiska nie wznowiono działalności leczniczej, lecz zorganizowano koszary dla Wojska Polskiego. Stacjonował tam Wojskowy Korpus Budowlany, którego żołnierze w latach 1949-1951 pracowali w kamieniołomach w pobliskiej miejscowości Pielgrzymka. Od 1950 roku (wg nieoficjalnych danych), po opuszczeniu terenu przez wojsko, budynki służyły jako hotel robotniczy. W 1959 roku uruchomiono istniejący do dziś państwowy zakład poprawczy.

W oparciu o dotychczas zgromadzone informacje istnieje prawdopodobieństwo, że harcerze z Hufca ZHP Łask brali udział w pracach przy budowie kolei, ale mógł być też inny powód pobytu harcerzy z Łaska w Jerzmanicach-Zdroju...

Za początek ruchu skautowego na ziemiach polskich można uznać powołanie do życia drużyn lwowskich. Miało to miejsce w dniu 12 maja 1911 r., kiedy to rozkazem Andrzeja Małkowskiego,

uznawanego za jednego z twórców harcerstwa, zostały powołane cztery lwowskie drużyny skautów. Nazwa Związek Harcerstwa Polskiego pojawiła się po raz pierwszy w 1916 roku w Warszawie na określenie grup pozostających pod władzą Naczelnej Komendy Skautowej. Związek Harcerstwa Polskiego, powołany do życia w 1918 roku przez pasjonatów skautingu z trzech zaborów, stał się w okresie międzywojennym jedną z największych organizacji, skupiających młodzież. Związek cieszył się ogromnym poparciem społecznym. Idea służby społecznej i pomocy drugiemu człowiekowi jednoczyła tysiące osób. Przywiązanie do Krzyża Harcerskiego owocowało działalnością, tworzącą jedną z najpiękniejszych kart historii Polski w okresie okupacji.

W styczniu 1945 roku, mimo oficjalnego rozwiązania Szarych Szeregów przez

ostatniego naczelnika, harcmistrza Leona Marszałka ps. „Jan”, praca harcerska nie ustała. Naturalnym stał się udział młodzieży w odbudowywaniu Polski ze zgliszczy wojennych. Odradzający się Związek Harcerstwa Polskiego stał się najliczniejszą i najbardziej popularną organizacją młodzieżową. W 1946 r. Związek zrzeszał 238 tys. członków, a w 1948 r. – prawie 300 tys. (dziś ZHP liczy około 110 tys. członków). Wobec wygaszanych działań konspiracyjnych ZHP oferował legalne formy aktywności, proponując wychowanie patriotyczne i ideowe, z zachowaniem apolitycznego charakteru.

Popularność ZHP wśród młodzieży spowodowała podjęcie przez ówczesne władze działań w celu opanowania i przebudowy ideologicznej harcerstwa, a działania te doprowadziły ostatecznie do likwidacji Związku Harcerstwa Polskiego, na mocy uchwały Rady Naczelnej Związku Młodzieży Polskiej z dnia 20 stycznia 1950 r. Kilkadziesiąt grup harcerskich, dzieląc losy pokolewskiego podziemia, zeszło ponownie do głębokiej konspiracji, prowadząc działalność w duchu skautowym i ograniczając ją do działań wychowawczych. Niektórzy z nich działali pod szyldem klubów sportowych lub PTTK, a zastępy żeńskie w Polskim Czerwonym Krzyżu oraz różnych placówkach szkolnych (świetlice), w domach dziecka i szpitalach. Wielu harcerzy zostało skazanych na długoletnie więzienie. Młodzi ludzie z harcerskich środowisk zapełnili obóz w Jaworznie i więzienia we Wronkach i w Radomiu.

Hufiec ZHP Łask im. Dywizjonu 303 należy do Chorągwi Łódzkiej. Powstał w 1920 roku, a pierwszym Komendantem Hufca był I. Zajda. W latach 1946-1947 Komendantem Hufca był Zbigniew Pawlaczyk, w latach 1947-1949 – Wacław Jaworski, a Hufcową harcerek w latach 1944-1949 - Irena Seweryniak-Słońska. Z dostępnych danych źródłowych wynika, że w okresie od 1949 r. do 1956 roku Hufiec ZHP Łask im. Dywizjonu 303, podobnie jak Hufiec Chorągwi Łódzkiej im. Aleksandra Kamińskiego pod szyldem „Młoda Polska”, działał w ramach „dru-

giej konspiracji harcerskiej”. Stąd brak informacji, brak dostępu do dokumentów Hufca, jak i brak przekazów ustnych harcerek i harcerzy, którzy w większości nie żyją, a żyjący milczą.

*Ojciec nie żyje, a ja nie mam żadnej wiedzy na temat Jego działalności w ZHP, nigdy o tym nie chciał opowiadać ... - mówi córka jednego z harcerzy Hufca ZHP Łask.*

*Tak, w 1949 roku byłam, jako 17-letnia dziewczyna, na obozie harcerskim w Jerzmanicach – opowiada Pani Lucyna Gerwatowska – był to obóz wypoczynkowy, Komendantką obozu była Teresa Krapczyńska. Ze względu na nieod-*



*powiednie warunki bytowe po tygodniu obóz został przeniesiony do internatu w Złotoryi.*

Oprócz obozu w Jerzmanicach-Zdroju Hufiec ZHP Łask organizował obozy harcerskie w Ostrowie koło Łaska (1946), w Sokołowie koło Polanicy-Zdroju (1947), w Ustce (1948) i w Szklarskiej Porębie (1950). Pani Gerwatowska w 1949 roku nazywała się Fiszer (inicjały L.S.), ale ryty na jerzmanickim kamieniu, zdaniem Pani Lucyny, należą do harcerzy: Ryszarda Sosnowskiego (R.S.) i Leszka Spałka (L.S.)

Dzisiaj, patrząc na kamień w Jerzmanicach-Zdroju, można powiedzieć, że inskrypcje na nim nie są już tak tajemnicze jak w przeszłości, a milczenie uczestników tamtych wydarzeń w związku z działalnością konspiracyjną nie stanowi dzisiaj przeszkody w odkrywaniu historii, bo jeśli nawet milczą ludzie – w ich imieniu przemawiają kamienie...

  **Tadeusz Kozak**



**Popiersie mjr Henryka Sucharskiego**

W kwietniu 1975 r. Zespołowi Szkół Zawodowych w Złotorzy nadano imię mjr Henryka Sucharskiego, bohaterskiego dowódcy obrony Wojskowej Placówki Tranzytowej na Westerplatte w Gdańsku we wrześniu 1939 r. podczas wojny z III Rzeszą Niemiecką. Równocześnie szkoła otrzymała też sztandar.

Popiersie zostało zaprojektowane przez plastyka pracującego w bolesławieckiej fabryce wyrobów gipsowych. Tam też zostało wykonane jako gipsowy odlew i pomalowane na brązowo. Nie było uroczystego odsłonięcia popiersia.

1 września 1975 r. podczas uroczystego apelu szkolnego złożono kwiaty pod popiersiem patrona szkoły umieszczonego na białym postumencie stojącym na I piętrze szkoły. Stało się tradycją trzymanie wart honorowych i składanie wiązanek kwiatów dla uczczenia ważnych patriotycznych wydarzeń obchodzonych w szkole.

W 1977 r. w ramach prac dyplomowych Technikum Mechanicznego dla Dorosłych absolwenci szkoły przeniesli pomnik patrona na parter, na wprost wejścia do budynku szkolnego. Na płycie wysokości około 15 cm umieszczono znicz (o średnicy 20 cm) oraz składano wiązanek kwiatów. Na płycie znajdował się też kwadratowy postument, zwięzający się ku górze, na którym znajdowało się popiersie patrona szkoły. Na postumencie umieszczono też napis „Henryk Sucharski 1898-1946”. Z tyłu postument posiadał drzwiczki, za którymi znajdowała się butla z gazem, połączona ze zniczem. Podczas uroczystości

szkolnych przy popiersiu stały warty honorowe złożone z uczniów szkoły, palił się znicz i były składane kwiaty.

Całość dekoracji uzupełniały także inne elementy: na filarze międzyokiennym znajdowało się godło Polski, po lewej stronie na ścianie umieszczono sztandar V Szczepu Harcerskiego im. Bohaterów spod Monte Cassino przy ZSZ oraz obraz przedstawiający klasztor i polskich żołnierzy. Po prawej stronie popiersia znajdował się sztandar szkoły oraz obraz dotyczący obrony Westerplatte. Na ścianach znajdowały się też wykonane z metaloplastyki tzw. miecze grunwaldzkie oraz umieszczono miejsca ważnych bitew II wojny światowej.

Wicedyrektor szkoły, inż. Józef Wiski zainicjował w 1983 r. zbieranie metali kolorowych na wykonanie z nich nowego popiersia mjr Sucharskiego. Znowu w ramach prac dyplomowych absolwent Technikum Mechanicznego dla Dorosłych pracujący w Hucie Miedzi w Legnicy podjął się wykonania odlewu nowego popiersia patrona szkoły. Niestety, zebrano zbyt mało metali kolorowych na wykonanie odlewu w skali 1:1. Postanowiono, że metale zostaną przekazane hucie, natomiast popiersie zostanie wykonane z żeliwa (stali). Gipsowe popiersie przecięto na pół wzdłuż ramion - posłużyło jako negatyw. Zespawano obie części, popiersie następnie oszlifowano i przewieziono do szkoły. Nowe popiersie ustawiono bez żadnych dodatkowych uroczystości na swoim miejscu w kwietniu 1984 r., podczas obchodów dnia patrona szkoły.

W 2004 r. podczas generalnego remontu szkoły, przy zmienionym wejściu do budynku, postawiono popiersie mjr Henryka Sucharskiego na zewnątrz szkoły. Każda osoba udająca się do szkoły przechodzi przed popiersiem patrona. Nowy postument wykonano z betonu i obłożono płytami z piaskowca. Zachowano oryginalny napis z 1977 r.

Na koniec ciekawostka – popiersie mjr Sucharskiego jest bez nakrycia głowy (powinno być w czapce rogatywce lub hełmie) a w napisie brakuje stopnia wojskowego – nie wiadomo dlaczego tak się stało.

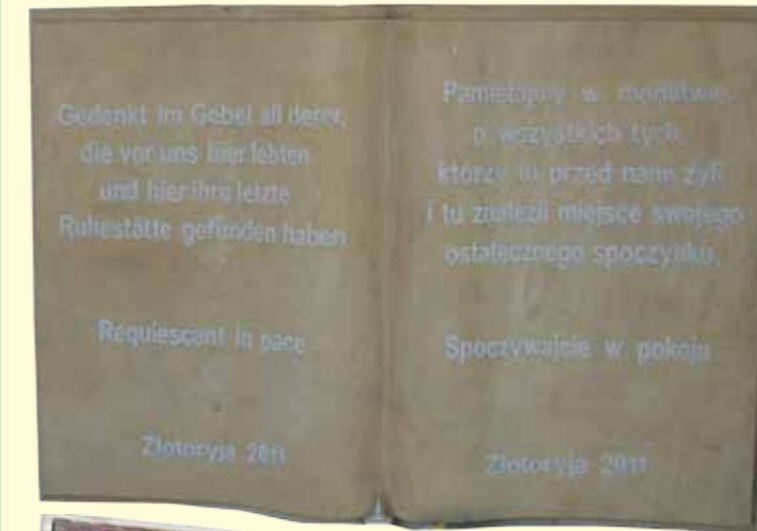
Dzisiaj, przed popiersiem mjr Sucharskiego zgodnie z tradycją szkolną składane są wiązanek kwiatów, a uczniowie klas mundurowych trzymają warty honorowe. Natomiast podczas przerw, kiedy pozwala pogoda, uczniowie spotykają się mówiąc: widzimy się pod pomnikiem.

**Wiesław Woźniak**  
 **Roman Gorzkowski**

## Złotoryjskie tablice

Kilka pamiątkowych tablic znajduje się na Górze Zamkowej oraz Górze Mikołaja. Zakończymy natomiast inskrypcjami dotyczącymi Zespołu Szkół Zawodowych i Szkoły Podstawowej nr 3.

W 1984 r., z okazji 40-lecia PRL, Inspektorat Oświaty i Wychowania oraz Komitet Rodzicielski ufundowały dwie tablice przy wejściu do LO. Odstonili je: Naczelnik Miasta Bogusław Cetera, Inspektor OiW Alfred Michler, emerytowany nauczyciel Piotr Denert, dyrektor szkoły Józef Górzeński oraz przewodniczący



Komitetu Rodzicielskiego Marian Stopa. a) **Gmach szkolny został oddany/ do użytku 1 stycznia 1887 r./ Uległ zniszczeniu w 1945 roku. Odbudowany/ ze zniszczeń wojennych w 1955 r./ Dla uczczenia 10 rocznicy/ Odrodzenia Polski 11 X 1954 r. przyjęt/ w swoje mury działające w Złotorzy/ od 11 X 1951 r.**

**Liceum Ogólnokształcące./ Rozbudowany o sale sportowe/ w latach 1976-1979./ W 40 rocznicę/ Odrodzenia Polski/ nauczyciele, rodzice,/ zakłady opiekuńcze/ KSSD i PGR/ oraz uczniowie./ Złotoryja 22 VII 1984.** b) **Legnicki ks. Fryderyk II Piast/ założył w XVI w. w Złotorzy/ Gimnazjum Humanistyczne (facińskie)./ W Złotoryjskim Gimnazjum/ studiowali uczniowie z całej Europy/ a wśród nich Erazm Gliczner/ - Skrzetuski ze Żnina, autor/ pierwszego wydanego w języku/ polskim w r. 1558 Traktatu/ Pedagogicznego. Tradycje Gimnazjum/ Humanistycznego kontynuowała/ Szkoła Miejska, która od 1704 r./ działała w obecnym Dfomu Nauczyciela/ "Bacalarus".**

**W 1887 r. uczniowie Szkoły/ Miejskiej zostali przeniesieni/ do tego gmachu./ Nauczyciele i uczniowie/ na 40-lecie Polski Ludowej/ Złotoryja 1 IX 1984.** W 1991 r. pamiętaliśmy o kilku rocznicach. Z tej okazji na parterze LO pojawiła się tablica: **Dla uczczenia/ 750 rocznicy bitwy pod Legnicą/ 200 rocznicy Konstytucji 3 Maja/ 780 rocznicy nadania Złotorzy/ praw miejskich/ 40 rocznicy powstania LO w Złotorzy/ Nauczyciele, rodzice,/ uczniowie, absolwenci/ i zakład opiekuńczy – Złotoryja 1991 rok.** Od 15 lat LO patronuje św. Jan Paweł II. Informuje o tym kolejna tablica naprzeciw wejścia do szkoły: **Z okazji jubileuszu 55-lecia/ Liceum Ogólnokształcącego/ w Złotorzy/ szkole nadano imię/ Jana Pawła II/ 9 grudnia 2005/ Nauczyciele, uczniowie/ rodzice i przyjaciele szkoły.**

Po lewej stronie portalu głównego kościoła św. Mikołaja czytamy: **Na większą chwałę Boga w Trójcy Jedynej/ W pierwszym roku trzeciego tysiąclecia/ za pontyfikatu Jana Pawła II/ wysiłkiem i ofiarnością/ księdza prałata Mariana Sobczyka i wiernych/ parafii pw. św. Jadwigi w Złotorzy/ odrestaurowano kościół pw. św. Mikołaja./ Dnia 28 października 2001 roku/ kościół poświęcił/ biskup Tadeusz Rybak/ pierwszy biskup legnicki.** W 2007 r., z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, w murze cementarnym na przeciwko wejścia do kościoła,

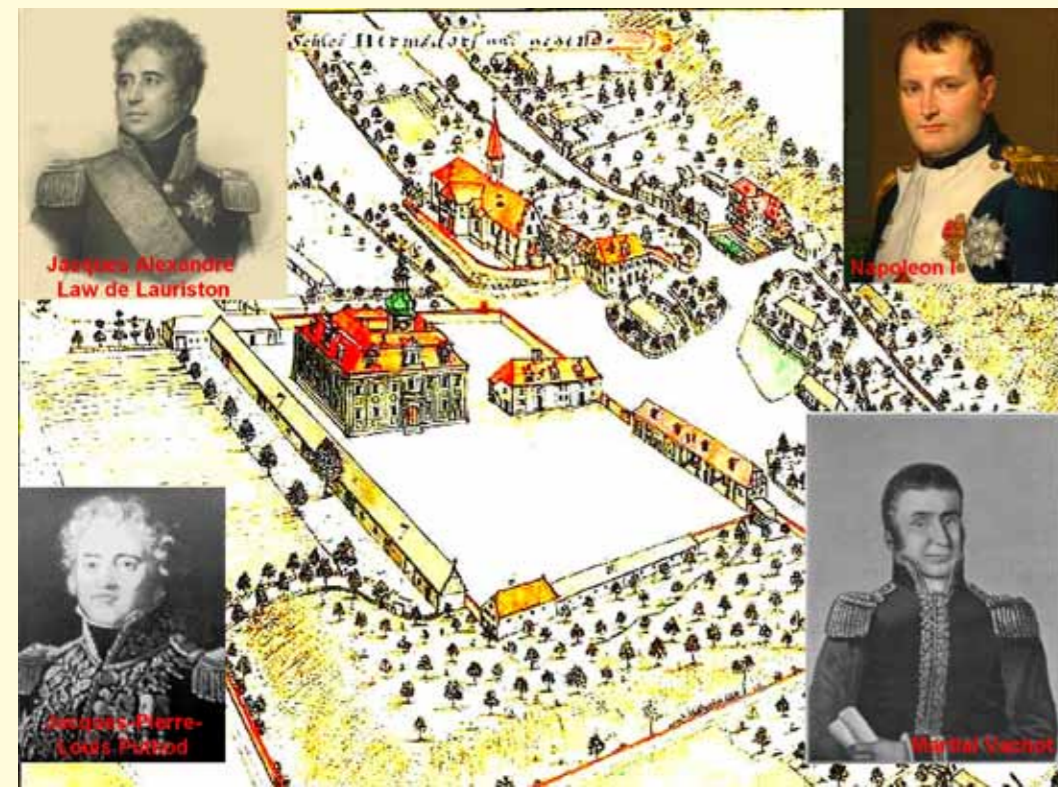
czyli w miejscu, gdzie wcześniej znajdowało się mauzoleum rodziny Helmrich, umieszczono płytę z inskrypcją: **AΩ/ Wir gedenken Euer in Ehrfurch/ Wspominamy Was w głębokiej czci/ Familie Helmrich/ Rodzina Helmrich/ Johann Gottlieb/ \*1782 †1851/ Johanna Eleonore/ geb. Friebe/ \*1787 †1828/ Julius Adolf/ \*1827 †1900/ Ernestine Dorothea/ geb. Schmidt/ \*1824 †1869/ Ewald Richard/ \*1862 †1932/ Agnes/ geb. Elsner/ \*1862 †1909/ Hans/ \*1892 †1893/ Margarethe Neubarth geb. Helmrich/ \*1892 †1944/ Pro memoria/ Herbert Helmrich/ \*1934 †2018./ Ruhet in Frieden/ Spoczywajcie w pokoju/ Złotoryja 2007.** W 2018 r. uzupełniono tekst o daty życia Herberta Helmricha. W 2011 r., z okazji 800-lecia miasta, z inicjatywy byłych złotoryjan oraz Alfreda Michlera, odsłonięta została wewnątrz byłej kaplicy nagrobnej Seibtów na zewnątrz kościoła tablica, która ma formę otwartej książki i nosi napis: **Gedenkt im Gebet all derer,/ die vor uns hier lebten/ und hier letzte Ruhestätte gefunden haben./ Requiescant in pace/ Złotoryja 2011.** Pamiętamy w modlitwie/ o wszystkich tych/ którzy tu przed nami żyli/ i tu znaleźli miejsce swojego/ ostatecznego spoczynku./ Spoczywajcie w pokoju/ Złotoryja 2011.

Przed budynkiem Zespołu Szkół Zawodowych przy ul. Wojska Polskiego znajduje się tablica, upamiętniająca powstanie szkoły. Ma kształt ówczesnego województwa wrocławskiego oraz informację: **Szkoła/ wybudowana/ ze Społecznego/ Funduszu/ Budowy Szkół/ i Internatów/ - Rok 1970 -.** W przedsionku Szkoły Podstawowej nr 3 spotykamy tablicę z następującym napisem: **"Pamięć o przeszłości oznacza zaangażowanie w przyszłość"/ Jan Paweł II/ Na pamiątkę/ nadania szkole/ imienia/ Henryka Brodatego/ Złotoryja, 23 V 2007r.**

**Roman Gorzkowski**



**II/ Na pamiątkę/ nadania szkole/ imienia/ Henryka Brodatego/ Złotoryja, 23 V 2007r.**



### O zagładzie pałacu w Jerzmanicach-Zdroju

Pałac w Jerzmanicach Górnych, bo to właśnie jego fotografie zamieściło poprzednie "Echo Złotoryi", z piętnem ponemieckości, dewastowany i pozbawiany od wewnątrz drewnianych konstrukcji, zaczął po 1945 r. popadać w ruinę. Wyrok wydano być może nieco wcze-

śniej, w każdym razie jego wykonanie nastąpiło w 1974 r.

Moim zdaniem, w dużej mierze zdecydowała niewiedza i nieświadomość lokalnych władz oraz użytkowników. A przecież w 1813 r. pałac był pierwszą siedzibą sztabu V Korpusu generała Lau-

ristona. To stąd generał dowodził bitwą o Złotoryję 23 sierpnia 1813 r. do przyjazdu Napoleona. Wiadomo, że cesarz był w Pielgrzymce. Jest jasne, że będąc tak blisko swoich wojsk, nie mógł nie przybyć do pałacu w Jerzmanicach. To tu zapadła decyzja przeniesienia sztabu bitwy do Nowej Wsi Złotoryjskiej. Nie mógł także potem nie zabrać ze sobą dowodzącego bitwą, w której strona francuska dysponowała dwoma połączonymi korpusami w sile 55 000 żołnierzy.

Te wydarzenia powinny być wystarczającym argumentem do ocalenia pałacu. Tak się nie stało, lecz dzisiaj mieszkańcy Jerzmanic-Zdroju mają prawo do wykorzystania tych wydarzeń do celów turystycznych. Niestety, pozostałe jeszcze zabudowania folwarczne popadają w ruinę i czekają na swoje unicestwienie.

Prosimy zwrócić uwagę na ilustrację: w jej centrum znajduje się fragment XVIII-wiecznej ryciny sławnego śląskiego rysownika Fryderyka Bernarda Wernera, przedstawiający opisywany pałac (to najstarszy jego widok!), a wokół niego przypomnieliśmy sylwetki bohaterów 1813 r.

Cezary Skala

## Życie Złotoryi

ORGAN POWIATOWEGO KOMITETU FRONTU NARODOWEGO

### interweniuje

*Chuligani w pociągu. Wielu podróżnych, pracowników różnych zakładów pracy oraz młodzież szkolna korzystając z kolei na trasie Marciszów-Złotoryja na samo wspomnienie o tym, że ma jechać tą trasą wzdyga się. A powodem tego jest chuligańska grupa pracowników dojeżdżających ze Świerzawy do Nowego Kościoła, która zawsze znajdzie sobie ofiarę spośród podróżnych. Ofiara taka upatrzona przez chuliganów dostaje gryzkiem jabłka w plecy lub niedopałkiem we włosy. Wtedy wybuchają śmiechy, lecz sprawca nie ma odwagi pokazać się. Jeżeli osoba pokrzywdzona oburzy się, zostaje wyzwana najohydniejszymi obelgami. Młodzież szkolna, aby uniknąć przykrości, podróżuje na pomostach. A co będzie jeśli ktoś z nich ulegnie wypadkowi? Chuliganów ze Świerzawy trzeba napiętnować i solidarnie wystąpić przeciw ich wybrskom.*

*To wstyd! Poczekalnia stacji PKP w Złotoryi znajduje się w stanie godnym pożałowania. Podłoga jest tam zawsze brudna i zarzucona różnymi papierkami i innym śmieciem. Ściany są czarne i opajęczone. Jest to częściowo wina pasażerów, ale przede wszystkim odpowiedzialność za czystość w poczekalni ponoszą władze PKP. Czas im o tym przypomnieć.*

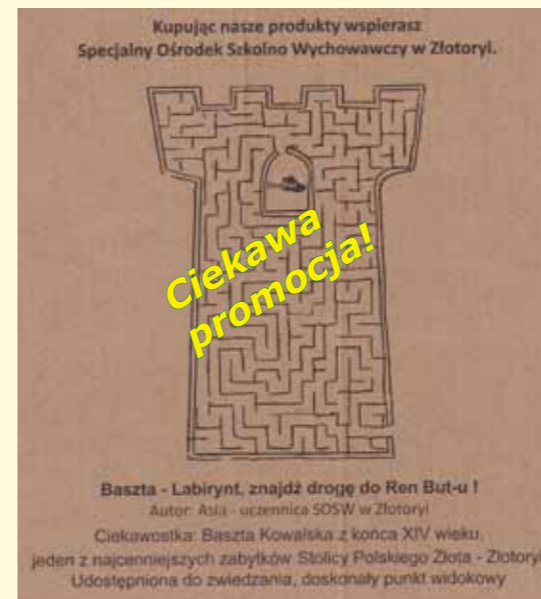
31 października 1954, 1 marca 1956

### Warto przeczytać

Tylko wtajemniczeni wiedzieli, że Krzysztof Bryś od dłuższego czasu zgłębia dzieje piramid, a właściwie historię całego Egiptu od czasów prehistorycznych. Było to nieodrodzone, choćby dlatego, że przed piramidami powstawały tam niemniej zagadkowe konstrukcje. Wreszcie możemy zapoznać się z odkryciami, przemyśleniami i hipotezami autora "Studium Wielkiej Piramidy. Ra-Setau-brama do Duat" (Wydawnictwo Poligraf 2021).

Dla wielu jej treść będzie dużym zaskoczeniem i nie chodzi tylko o erudycję autora. Przecież powszechnie kojarzymy piramidy z grobowcami faraonów, którzy w ten sposób chcieli przejść do wieczności. Tymczasem, zdaniem K. Brysia, "piramidy to wiara, nie groby". Dlatego nie znaleziono w nich ciał i mumii ani bogatego wyposażenia – nigdy tam władców nie chowano. Trafiała tam jedynie jego dusza, dla której była to brama do zaświatów. W tzw. Komnacie Królowej, Cheops (utrwalony w posagu) odradzał się i stawał Ozyrysem, wtedy, gdy nad specjalnymi kanałami pojawiały się gwiazdozbiory Wielkiej Niedźwiedzicy. Autor wyjaśnia w jaki sposób, jego zdaniem, zbudowano Wielką Piramidę, nie odwołując się np. do pomocy kosmitów. Wobec tego, że w niedopuszczalny sposób uprościliśmy tutaj przemyślenia autora oraz wiele z nich pominieliśmy, powrócimy do nich w rozmowie z Krzysztofem Brysiem w następnym "Echu".

Roman Gorzkowski



Ze świecą szukać w naszych lokalach, punktach usługowych lub handlowych produktów, które nosiłyby lokalne nazwy (np. "górnice pierogi", "herbata z gwarkiem", "złoty naleśnik"...). Nie są przy takich okazjach promowane inne atrakcje lub tradycje miasta, czy też przypomniane ważne społecznie instytucje lub organizacje. Dlatego trzeba pochwalić firmę Ren-But, która na opakowaniach swoich wyrobów umieszcza tekst, widoczny na ilustracji. Zaznaczmy, że nasz tekst nie jest sponsorowany!

Roman Gorzkowski

### Kącik starej widokówki

W 1974 r., czyli blisko pół wieku temu, Biuro Wydawnicze "Ruch" wydało widokówkę opatrzoną podpisem: „Złotoryja. Kościół św. Jadwigi z XV w., przebudowany w XVIII w.". Fotografii wykonał J. Osuchowski. Kartka kosztowała 1,70 zł + 20 gr na Społeczny Fundusz Budowy Szkół i Internatów.

W 1974 r. istniała w mieście jedna parafia, którą w 1974 r. kierował ks. proboszcz Stanisław Jakubowski. Z pewnością właściwsze byłoby określenie: "kościół św. Jadwigi z XIII w.", ale tym razem nie o to nam głównie chodzi. Także nie są ważne (wyjątkowo!) dwie młode dziewczyny, idące alejką. Dzięki widokówce możemy sobie przypomnieć, jak wcześniej wyglądał przykościelny mur od strony ulicy Ignacego Krasickiego (wówczas Janka Krasickiego). Jak wiadomo, na przełomie 2021 i 2022 r. mur został postawiony na nowo, otrzymując inny wygląd.

### Kościół franciszkanów w 1974 r.

Roman Gorzkowski

### Historia jednej fotografii



Ponad siedemdziesiąt dwa lata temu, dokładniej 12 października 1949 r., kilka klas Państwowego Liceum Handlowego w Świerzawie wybrało się na wycieczkę. Jej uczestnicy odwiedzili między innymi bardzo ciekawą geologiczną osobliwość, z której słynie ziemia złotoryjska. Mamy nadzieję, że czytelnicy z łatwością od-

gadną miejsce wykonania pamiątkowego zdjęcia. Prosimy o odpowiedź! Fotografia pochodzi z rodzinnych zbiorów Anny Maćkowskiej, której mama, Irena, była wtedy uczennicą pierwszej klasy. Dziękujemy!

Roman Gorzkowski

# Dobrze zainwestowany 1% Twojego podatku



Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej  
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1

KRS 0000124632

ECHO  
ZŁOTORYI



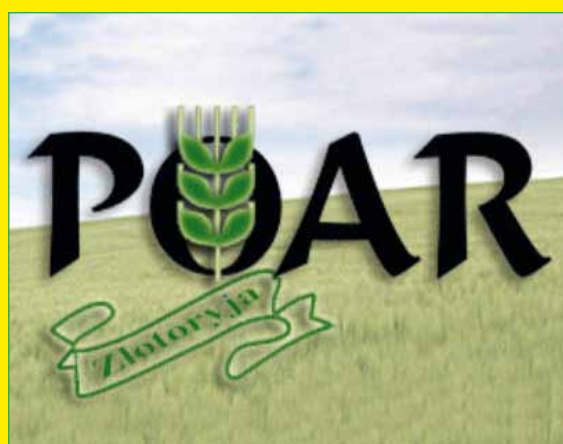
- ✓ Koło Kresowian
- ✓ Klub Kolekcjonera
- ✓ Echo Złotoryi
- ✓ Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
- ✓ Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej
- ✓ Złotoryjski Klub Fotograficzny
- ✓ Rajdy i Szlaki św. Jadwigi oraz św. Jakuba
- ✓ Księgarnia Internetowa

## GALERIA SPONSORÓW



**Wilków Spółka z o.o.**

**PRODUCENT**  
konstrukcji stalowych  
aparatury i urządzeń technologicznych  
w tym dla ochrony środowiska  
tymczasowych stacji paliw  
elementów złącznych hydrauliki siłowej  
sprzętu transportowego dla górnictwa  
[www.lena.com.pl](http://www.lena.com.pl)  
[lenawilkow@lena.com.pl](mailto:lenawilkow@lena.com.pl)  
tel. +48 768783 480, fax +48 76 8783 212



**grysy bazaltowe**

- \* płukanki
- \* kolorowe
- \* posypki
- \* mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL  
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

**Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej**  
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus”), [www.tmzz.pl](http://www.tmzz.pl), e-mail: [echozlotoryi@tmzz.pl](mailto:echozlotoryi@tmzz.pl)

**Redakcja:** Anna Chrzanowska (sekretarz redakcji), Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Marta Klonowska-Procków (korekta), Wioleta Michalczyk, Agnieszka Młynczak, Krystyna Rybicka i Bogusław Cetera (dystrybucja), Iwona Pawłowska (redaktor naczelna), Joanna Siembida, Tomasz Szymaniak, Andrzej Wojciechowski.  
Zdjęcie na okładce: Daniel Kiewro - Kaczawa.

ECHO  
ZŁOTORYI



Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok

